

Brak Cz 434

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki i kulturalny
tygodnik kobiecy*

Wydano z dubletów
Bibl. Publ. m. st. W-wy



Warszawa,
Solec 87.

„BLUSZCZ”

Warszawa,
Ś-to Krzyska 17, m. 3.

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

Treść numeru:

Jadwiga Kramczyńska: „W góry”. *Milosz Gembarzewski*: „Krew z ołowiem”. *Dr M. Kastarska*: „Gdy Akademia Francuska przyjmuje w Chantilly”. *S. P. O.*: „Z teatrów”. *Jadwiga Roguska-Cybulska*: „Stosunek młodzieży do gór”. *Z. Zbyszewska*: „I one mają prawo do słońca i życia”. „Kobieta w świecie i w domu”. „Świat kobiecy w ilustracji”. Ogrodnictwo i hodowla. *Marja Dąbrowa*: „Sadzonkowanie i odkładanie róż”. Dom i gospodarstwo. *Wanda Dobrzańska*: „Ta się plama nie wypierze”. *Melba*: „Przepisy kulinarne”. „Mody”.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—5.60 zł., kwartalnie—10.80 zł., rocznie —43.20 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 4.30 zł., Zmiana adresu — 50 gr.
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.
Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.
W y d a w c a: Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.			zł.					
1/1 str. tekstu	— 700.—	Okładka III-cia		1/1 str. okł.	— 500.—	Okładka IV-ta			
1/2 „ „	— 400.—			1/2 „ „	— 250.—				
1/4 „ „	— 200.—			1/4 „ „	— 150.—				
1/8 „ „	— 100.—			1/8 „ „	— 80.—				
1/16 „ „	— 50.—			1/16 „ „	— 50.—				
1/32 „ „	— 30.—			1/32 „ „	— 30.—				
								zł.	
								1/1 str. okł.	— 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych, w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „Bluszczu” powinny nabycić tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p., wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz”. Warszawa, Solec 87.

BLIŃCZKA

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY



Potok z Czarnego Stawu Gąsienicowego. (Fot. J. Jaroszyński).

Cz 434/1935



Na Hali królowej.

(Fot. J. Jaroszyński).

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

W góry

Nie wiem, czy kto kiedy interesował się zagadnieniem, jak „odkrycie gór” wpłynęło na polską psychikę i kulturę. A zdaje mi się, że jest to problem, który nie powinien przejść bez zwrócenia uwagi, bo obraz przełomu moralnego w pokoleniu współczesnym i napięcia walki, wiodącej do niepodległego bytu państwowego, nie byłby prawdziwy przy pominięciu wzmacniającego i ożywczego kultu gór, jaki powstał i wyrobił się w społeczeństwie przed wielką wojną.

„Odkrycie gór” przez miłośników przyrody i taternictwa ma już dość dawne dzieje i przypisywać je należy zarówno Chałubińskiemu i Waleremu Eljaszowi, jak jeszcze dawniejszemu Wincentemu Polowi — ludziom, którzy w niewoli i niedoli narodowej zachowali zdrowy instynkt, wiodący ich w jedyne dostępne wówczas dziedziny swobody. Owo odkrywanie gór było mieszaniną rozbudzonego w XIX wieku zainteresowania ludem i przyrodą wogóle z dążeniami do indywidualnego bohaterstwa i tężyzny fizycznej. W zbliżeniu do gór z ich osobliwą i potężną, pierwotną siłą odnajdywali owi odkrywcy nowe źródło ożywczej, pokrzepiającej mocy, a w zmaganiach się z dziką przyrodą umacniali się w poczuciu własnego bohaterstwa, podnosili skalę swego wysiłku do coraz dalszych granic.

Nie nazywano tego wówczas jeszcze sportem,

lecz był to jeden z najszlachetniejszych sportów, za który nie wręczano laurów olimpijskich, lecz który był wart laurów trwalszych: wdzięczności za całe przyszłe pokolenia, za szczęśliwy w naszej historii kultury zwrot narodu ku górcom, skarbnicy zdrowia i hartu.

Od pewnego rodzaju poetycznej mody, która skłaniała rodziny mieszczańskie do całodziennych podróży furką góralską z Krakowa do Poronina lub Chocholowa, a potem do Zakopanego, aż do masowego treningu górskich wycieczek i spinaczków, uprawianych przez młodzież inteligentką i rzemieślniczą, minęło zaledwie jedno pokolenie. I to pokolenie drugie, to byli właśnie owi strzelcy, drużyniacy, harcerze, którzy stali się zwycięskim hufcem niepodległej Polski. Wśród zahartowanych oddziałów legionowych, jeżeli nie wszyscy żołnierze byli taternikami w znaczeniu wysokiej klasy, to chyba wszyscy znali Tatry, znali góry i odbywali niejedną dłuższą wyprawę poprzez Karpaty, lub góry Świętokrzyskie. A z gór, zwłaszcza z Podhala Skalnego spłynęły i runęły potężne gromady po zdobyciu wolności dla Ojczyzny, porwane do walki pędem, iście orlim, góralskie pułki. Któż z tego właśnie pokolenia nie czytał prozy największego poety Tatr, Stanisława Witkiewicza i cudownego piewcy góralszczyzny Skalnego Podhala, Kazimierza Tet-

majera, kto nie pogrązał się w zapamiętaniu w pachnące wilgocią lasów i groźne kamiennymi przyczółkami gór opisy Żeromskiego z puszczy Świętokrzyskiej i z Tatr? Literatura złożyła wspaniały hołd górcom, stała się propagatorką ich czaru.

Stara przyspiewka Wincentego Pola „W góry, w góry, miły bracie — tam swoboda czeka na ciebie” w swej nieskomplikowanej formie ujawniła treść głęboką i prawdę, która dziś wydaje nam się banalna i oczywista, lecz która przed laty była czymś odkrywczym, nowym i odważnym. Istotą dążenia człowieka do gór było i będzie zawsze pragnienie swobody, pragnienie uwolnienia się z pęt, dążenie ku wyżynie, z której możnaby zobaczyć szerszy krąg świata, odetchnąć czystszym powietrzem, a w drodze zmierzyć się z trudnościami, wypróbować swą wytrzymałość i siłę.

Taki stosunek do gór i życia w górach mają ludzie z niziny, ludzie, których życie codzienne upływa poza górami, w miastach i na równinach. Może być tylko moda i może być głęboka potrzeba w tym ciągu do gór, jaki odczuwają ludzie z niziny — ale wpływ gór na ich psychikę nie da się porównać z tem głębokim piętnem, jakie nadają góry swym stałym mieszkańcom — góralom.

Wszędzie na świecie — i w polskich górach tak samo — plemiona góralskie wyodrębniają się od współplemieńców, siedzących na nizinach. Zamknięte w mało dostępnem otoczeniu, odcięte od reszty kraju, górskie rody wytwarzają swój specyficzny typ fizyczny i moralny, odrębną kulturę i rozwijają cechy, odróżniające je wybitnie od ludzi z do-

łów. Odznaczają się większą tężyzną, odpornością, nie brak im dzikości i ponurości, lecz nadewszystko cechuje górali harda niezależność i umiłowanie swobody. Stworzywszy sobie własny tryb życia i własne obyczaje, konserwują je przez wieki, tem łatwiej, że napływ ludzi z zewnątrz i nowinki ze świata są rzadkie. Skąpy dobrobyt górali, graniczący często z nędzą, nie nęci przybyszów. Częściej góral opuszcza swą wieś rodzinną w poszukiwaniu chleba, niż obcy szuka w górach schronienia.

Chociaż więc turystyka i taternictwo otworzyło drogi w głąb gór ludziom z dolów, górale i góralszczyzna nie dały się tak łatwo zdobyć i przyswoić. Turyści, którzy znają wszelkie granice i perci, którzy wydeptali karpackie i pienińskie ścieżki i wąwozy, rzadko kiedy poznali życie, obyczaje i duszę góralską. Podziwiają zakopiańskie stroje i fajne rzeźby, zmyślne hafty i smaczne serki owcze, bawią się gwara i swawolnymi piosenkami góralskimi, lecz poznanie to jest bardzo powierzchowne. Pod pewnymi względami między mieszkańcami nizin, a góralami niema dziś bliższego porozumienia, niż w czasach słynnej „opery” „Krakowiacy i Górale”.

W zjednoczonej Polsce odczuwamy potrzebę zbliżenia i poznania się wzajemnego między mieszkańcami różnych części kraju. Jak ongi odkrywano góry, tak przyszedł czas na odkrywanie morza, odkrywanie Polesia, czy Huculszczyzny przez całą Polskę. Z zadziwieniem naród stwierdza teraz nadzwyczajną piękność, rozległość i różnorodność swych ziem, oraz szeroką skalę typów ludności i bogactwo ich kultury.



Morskie Oko.

(Fot. J. Jaroszyński).

Pomyślano w tym roku o pięknym obchodzie, który pod nazwą „Święto Gór“ pokazałby Polsce całej nietylko najpiękniejsze jej góry (a mamy ich tak mało!), Tatry z Zakopanem, lecz zgromadziłby całą polską góralszczyznę — ze wszystkich pasm górskich Polski południowej, jedynej części kraju, osłoniętej wałem kamiennych zboczy i lesistych pagórków. I przy tej sposobności dowiadujemy się tego, o czym mało się wie i jeszcze mniej się myśli, ile na tym stosunkowo niewielkim pasie górskim jest ciekawych spraw, ile różnorodnych zagadnień, jakie ludy, jakie pieśni i jaka twórczość oryginalna.

A więc będą w Zakopanem w czasie od 4 — 11 sierpnia — oprócz gospodarzy - Podhalan — górale z Beskidów śląskich, z Gorców i Nowosądecczyzny, Łemkowie, Bojkowie, Huculi — aż po Wschodnie Karpaty i Pokucie idąc. Te plemiona górskie różnią się częściowo pochodzeniem i obrządkiem i gwara, mają każde swój obyczaj i swe zabobony, swą sztukę samorodną. Ale łączy je wspólność siedzib, łączy podobny sposób pracy i zarobkowania, łączy je trudny i ciężki tryb życia, łączy je ukochanie gór i duma ludzi wolnych od wieków, ludzi, co nie poznali pańszczyzny, ani bata nad sobą. Mieli zawsze góry otwarte przed sobą i wolną przestrzeń nad głowami. I to ukształtowało ich charaktery i wpłynęło na wielki hart fizyczny, na zdolność przetrzymania najgroźniejszej nędzy. Bo jest także wspólna góralom niedola życia codziennego, ubóstwo, nędza,

która nawiedza okolice górskie. Niemal co roku przednówek góralski jest czasem głodowania i wymaga specjalnej pomocy rządu i społeczeństwa. Jeden to jeszcze więcej motyw, dlaczego społeczeństwo powinno nietylko zdaleka i nietylko dla barwnego folkloru interesować się górami i góralami.

Szeroki rozwój turystyki górskiej na całym paśmie Karpackim powinien być hasłem młodych pokoleń. Tatry nie dla wszystkich są dostępne, taternictwo wysokogórskie wymaga dużego treningu i właściwości fizycznych, lecz nasze Karpaty, od Śląska po Pokucie, są terenem nietrudnym, wymagającym jeno trochę wytrwałości, a niezwykle mało łowniczym, pięknym i darzącym zdrowiem i bogactwem wrażeń. Wychowawczy wpływ przebywania w górach, odbywania wycieczek górskich, życia się z surową, a wspaniałą, wolną przyrodą górską powinien być szeroko uwzględniony w kształtowaniu charakterów młodzieży. Dla ludzi dojrzałych zaś góry są odtrutką po życiu miejskim, po goryczach i zwyrodnieniach cywilizacji, są wspaniałym odrodzeńcem i zdrowotnym schronieniem, z którego powraca się pokrzepionym na ciele i duchu do dalszej walki i do twórczej pracy.

To tak mało — dzień oddychania górskim powietrzem, muzyka wichru w skałach i lasach, kilka godzin dobrego marszu górskiego — a jest to wielkie zdarzenie, w którym rodzi się człowiek lepszy, zdrowszy, młodszy i piękniejszy. Takich dni powinniśmy mieć w życiu jaknajwięcej.



Góralki z Zakopanego.

(Fot. J. Jaroszyński).

Krew z ołowiem

Jedzie się na Sławno, Chronów — od Rado-
mia; albo na Wierzbicę, Orońsko — od Iłży. Rów-
nina jest, ziemię dobre; drogą szeroką w świat
otwarty naścieżaj, między gęstem żytem turkoczają
kola, szemrze wiaterek, i dojeżdża się do wsi Gu-
zowa, w roku tysiąc siedemset pięćdziesiątym
czwartym.

I w październiku bywa piękna pogoda. Gdy
ziemia wydała już wszystko, a jeszcze hojna syci
człowieka pąkami, które znów chcą wyniść z ga-
łązek. Słońce łagodne; przez kolorowe suche bal-
dachy pogląda, i astry jeszcze i aksamitki; zbiory
obfite, jakby szparami śpichrzów patrzą, dychają
skroś zamknięcia, w Czas błękitny ciemnozłoty,
a pachnący kraśnemi malinami.

Lecz pamiętają ludziska, że pod Guzowem
zmieszała się krew z ołowiem. Bratobójstwo było
tłumne, kiedyś. Pod wielkim dębem, którego dzie-
sięciu chłopów nie obejmie, składano rannych na
murawie, przy dąbrowie, podle strumienia.

Dzisiaj Antoni Habdank Grzmucki kończy
przy pogodzie rachunki gospodarskie i polubowną
ugodą z sąsiadem także kończy prace polne. Rach-
mistrzem jest dziedzic niebylejakim. Na dużych
łamacz żółtawego papieru wypisane kaligraficz-
nie: „Specyfikacja“, i potem: „I-mo. Wykład summ
na wieś Guzów z przyległością Zdziechowszczyzna
wniesionych“. A dalej, podług skryptów, kwitów,
cesji, wyrachowania prowizji et cetera.

Wsunął dziedzic papierzyska do szuflady;
skórzanym pasem opiał żupan biały w niebieskie
paseczki; czuprynę nieco szpakowatą przyglądził
szeroką dłonią — i szedł ze dwora.

— A dokąd jegomość? A toż czekamy. Lada
już będą. Dokąd?

Grubym a prędkim głosem pytała pani
Grzmucka, wiążąc fioletowe wstążeczki na czep-
ku i bardziej jeszcze rumieniejąc na czerstwym,
ale już latami zmarszczonem licu.

Maż, ani słowa nie odpowiedziawszy, ruszył
dalej; tylko błyskiem w czarnych głębokich
oczach drgnął jakby żartobliwie; chyżość ruchów
pewnych miał zawsze mimo pięćdziesięciu roków
zgóra, i wdzięk młody postaci, urodną twarz.

— He he... Pan ociec gracko śmiga — mówił
Bernas Grzmucki, patrząc z ganka na rodziciela.

— Bo ty ciężki i ja ciężki — odpowiedział mu
Józiuk, brat rodzony.

— Bo pan ociec, uważasz, dziś wielkiego cię-
żaru się zbędzie; tego juchy Telatyckiego.

— Myślałem, że o nas powiadasz. He he he.
Ja to jeszcze nie wyjadę. Gdzie mi tam, pod Sano-
kiem w procesach się grzebać.

— A ja! czy ugodzę się kiedy z Szulborskimi,
tak jak ociec z Telatyckim?

— To pocios się żenił z Szulborską?

— No, wiadomo, jakie oni zadziory, ale żeby
i po małżeństwie krewnego procesować. No, no.

Wyjeżdżając do letnisk, pamię-
tać należy o zgubnych skutkach nadmiernego opa-
lania twarzy i skóry ciała. Nietylko bowiem nad-
miar energii słonecznej postarza przedwcześnie
skórę twarzy, lecz wywołuje poważne nieraz spu-
stoszenia w organizmie. Należy przeto posługiwać
się jednym z niżej wymienionych filtrów wyrobu
„Miraculum“ z przepisu Dra Lustra, specjalisty
lekarskiej kosmetyki: Krem „Ultrasol“, Olejek
„Negrita“. „Ultrasol“ w postaci emulsji. One nie-
tylko chronią przed zapaleniem skóry, nietylko
warunkują równomierne ciemnienie jej, lecz je-
dnocześnie ożywiają cerę.

— Wiadomo. Od tego małżeństwo i pokre-
wienieństwo. Taki zwyczaj.

— Taki zwyczaj. A patrzaj, już ociec jedzie.

— Bo nie ciężki, a my ciężcy. Oj.

Skrzypla ława pod tęgimi synalami, gdy z nią
się obracali ku ojcowemu jasnemu kłusowi. A tam
już deresz biegł zgrabnie, i jeździec był prosty,
hoży.

Parę wiorst od guzowskiego dworu, jadąc
na Krogulczę, w zupełnem osamotnieniu, wśród
gaiku brzożowego, był chłodnik-altana, z jednego
rozłożystego wiązu utworzona. Drzewo wysokie
opuściło gałęzie ku samej ziemi i długotrwałym
gęstym liściem obszyło się dookoła. Pod tą kopułą,
między żywe ściany, wstawiono kiedyś stół z tar-
ciec na soszkach, ledwie oheblowanych, w krzyż
złożonych; przy nim parę pniaków, drażonych
nieco polerownie, stał chłodnik na odludziu, a nikt
nie tknął pańskiej budowli, przez przyrodę stwo-
rzonej, przytulnej. — Tam, koniem toczył Antoni
Grzmucki.

Już przesłonił pagórek płaski, i jeden i drugi;
potem lasek, chałupka komornicza opustoszała;
w końcu przestrzeń sama zakryła — i jak nieraz —
nikogo spodziewać się nie możnaby w tamtej stro-
nie, gdzie wśród brzózek wiąz panował.

— „Powrozem jest — nie Parki, nie Amora,
Splecione tak, na wieczność cała.
Przed zimą już, dzwoni ultima hora,
Jak szkło...“

Liście nie wiotkie, suche karmazynowe,
a przecież łamliwe, leciały skądś nagle, niziutko,
albo pełzały, szemrzając nieporadnie; grudki drobne
rozsypanywały się, nie wzbijając radosną kurzawą.
Tylko wiąz, gęsty jeszcze, pachnący całą ziemią,
powietrzem skończonego lata, krył w sobie tajem-
nicę i życie za opuszczonemi gałęziami. Habdank-
Grzmucki oczami niezawodnemi przejrzyć nie
mógł gęstwiny, i dopiero gdy z konia zsiadłszy
wchodził, schyliwszy się nieco przy leśnej furcie,
to dojrzał oczekiwanie swoje.

Całował jej rękę, gdy ona badawczo, prędko,
przenikała go, błyskiem suchych oczu. Siadł przy
niej i już obejmował, gdy nieco odsunęła się od
niego, wyraźnie obojętna w każdym ruchu, ale
czujna, żwawa. Mogła mieć lat trzydzieści i parę;

Przypominamy, że już czas opłacić prenumeratę za miesiąc sierpień.

*Celem uniknięcia opóźnień i przerw w wysyłce pisma prosimy o punktualne wnoszenie opłat.
Najdogodniejszym sposobem uiszczania należności są pocztowe prenumeracyjne przekazy rozrachunkowe
(błękitne) przy użyciu których nadawca nie ponosi opłat porta. Blankiet w cenie 1 gr. za sztukę można
nabyć w każdym Urzędzie Pocztowym.*

białe, wąskie pasmo siwizny przebiegało jej włosy na ciemieniu, więc ku nim nieraz dłoń wzniosła, rozgarniając czarne pukle; to jedno czyniła jakby mimowoli, bo poza tem trwała ciągle opanowana i prędka.

— Dzisiaj proces kończę. Drogę równą układam. Ty wiesz, Weronka, że to dla nas. — Chwilkę zamyślenia, i jakby beztroski, młodo uśmiechnięty, chylił się, by żakowato dotknąć opaloną ręką zielonkawej pończoszki przy pantofelku.

— Wszyscy w podziwie, żem taki zgodny. Czekaj. Dowiedzą się. Ułożę się z sąsiadem i... z rodziną. Czekaj. Będziemy żyli...

— Czy długo?

— O! — Habdank Grzmucki już nie rozumiał ani dźwięku, ani słów; najdalszym był od ironji, gdy postanawiał silnie.

Panna Bożykowska zmrużyła wąskie oczy.

— Stoiku, gospodarzu Cyncynacie, jakim jesteś... cynikiem. Wybacz, my oboje tacy.

— Rozwiode się. I od ślubu są indulty. A choćby wiarę mieniać. Chcesz, Weronka, żeby o nas wiedział tylko ten chłodnik z więzów?

— Jesteśmy oboje uwiązani w więzach.

Silił się, by coś rzec, ale myśli stłoczyły się, żądając wyzwolenia w nagłym uścisku wiotkiej kibici. Ona wymkła się zręcznie z cichym śmiechem, którego nie zrozumiał dziedzic guzowski.

— Musztułuk dam za dobrą wieść dla mnie, dla mnie — mówiła z naciskiem, jakby stwierdzając, że ją coś od niego dzieli.

— A ja portatył-oltarzyk podróżny bym tu zwiózł. I księdza plebana, żeby mnie rozwiódł, a potem dał nowy ślub. Proszę, Weronka, będziesz tu jeszcze dziś? Tak blisko od ciebie. Zjadę tu jeszcze, a niech kaci porwą wszystko. Dzisiaj pogodzę się z sąsiadem, ubezpieczę; potem rozrachuję z tym domem... moim domem, i już.

— Niech kaci porwą — wtórzyła cicho, niby bez przyczyny.

Z niepokojem przysunął się do niej, gdy na chwilę była bezwładna, ale wnet obiema rączkami odsunęła jego płonące czoło. Słowa bezobrazowe jakichś obliczeń i terminów wymienione były jeszcze między nimi, jak moneta. Westchnął pan z Guzowa, ale młodo na koń wsiadał, pogodny, pewny, wracał doma.

A już ze wszystkich stron ciągnęli sąsiedzi do Guzowa. Kto bryczką, kto karocą; niejeden konno samowtór, z bliższych młodych znajomków. Dla usługi przyjacielskiej, jako sędzia uproszony, lub dla asysty przy akcie zawieranej ugody.

Jechał pan Andrzej Święcicki, chorąży opoczyński, podstarosta grodu radomskiego, mąż szczeropolski, sprawiedliwy, dzieciom jeno dziwny, bo z wielkimi, rozczapierzonemi wąsami pod krótkim nosem; dalej, pan Michał z Jagniątek na Podolanach Jagniątkowski, miecznik radomski, wyglądu najłagodniejszego, ale językiem i mieczem szermujący najkaśliwiej; od Skaryszewa zmierzali krewniacy i druhy rodu Grzmuckich: — Gorzkowscy, Michalczewscy, Kieszkowski (Jan, komornik checiński) i Popiele utytułowani pięknie, w bogatej karocy rozsiedli: Paweł, stolnik wiślicki, i Konstanty, skarbnik radomski. Od Przysuchy, Potworowa cwałowali zelanci strony przeciwnej, Kaźmierza Telatyckiego przyjaciele, urzędnicy znaczni, bo grodu radomskiego: Adam Tymiński, vicesgerent, z bratem Maciejem, subdelegatem, obdarzonym czarną, ładnie farbowaną brodą; i pyszni, piękni, a zubożeli karmazyni: Antoni hrabia z Łabiszyna Latałski, pisarz grodzki, z bratem Jerzym, regentem.

Rozsiadali się w krzesłach, na ławach, przechodzili świeżo gracowanemi steczkami włoskiego ogrodu, wszyscy jaśni i dobrzy; witali się blisko blisko pochyleni. Samych Kochanowskich zebrało się dziesięciu, i uśmieli się, że to jak na sejmik; ale już arbitrzy byli skupieni w sali, widoczni przez drzwi szklane z obu stron, i od podwórza i ogrodu; tam więc biegły spojrzenia tych, co jeno mieli być asystą i uczestniczyć w ostatnim akcie, to jest miodowym traktamencie.

Właśnie pan Józef z Mirowa Myszkowski, co przez Starych Koniów Wielkopolskich z dziedzictwa ordynacji wyzuty, melancholizował i zagłębiał w pobożne czytania zamyślał czy nie o habicie, teraz siadł w kątku ciemnym antykamery i prawił:

— Guzów jest sławny. Zmieszała się tu krew z ołowiem. I pierwszy raz tu się godzą bez krwi przelania.

— A, kat tam wie?

— Posłuchaj, panie łowczy. Jesteś waćpan na Wielkiej Paprotni, Paprocki, ale na tym nektarze, co tutaj się rozlał, to i paproć karmazynowo kwitnie, bo tu wiele senatorowie wojowali. A wiecie, czytałem: Żył wtedy w Rzymie błogosławiony Bartłomiej Salucjusz, ojców franciszkanów reformat, wielkiej świętobliwości mąż, darem prorockiego ducha i rewelacji od Boga ozdobiony.

Ten, gdy podczas rokoszu w Polsce dzień do bitwy był wyznaczony, mając Mszę świętą, w duchu był zachwycony, a długo tak trwając, jedną razą zawołał: — O Polonia! quantos habes Patronos! — O Polsko, jak wielu masz patronów! — Spytany, co i dlaczego tak mówił, sam zapytał, czyli jest w Chrześcijaństwie jakie Królestwo Polskie (bo o niem nie wiedział ten zakonnik, w Bogu zatopiony). A gdy powiedziano, że jest, dopiero mówił: — „W tem Królestwie Polskiem, widziałem, że źli poddani, zbuntowani przeciw królowi; a jeśli oni wygrają, będzie to zgubą tego państwa. A gdym na to ubolewał sercem patrzę, że oto Najświętsza Panna stanęła z nieprzeliczonym poczem świętych przed Majestatem Boga, i prosiła. Na te prośby Bóg rozkazał, aby zbuntowani przegrali, a król z narodem ocalał“. Tak rzekł błogosławiony Bartłomiej Salucjusz, i sprawdziło się, że tego dnia właśnie była bitwa pod Guzowem.

— Zmieszała się krew z ołowiem — przyświadczył pan Popiel.

Chwilę trwali w milczeniu, poglądając na jasną drogę, biegnącą od Zdziechowsczycy do guzowskiego dworu — miał tamtędy jechać pan Telatycki.

Przeszedł wiatr. Znów zawrzały gwary.

Jejmość Barbara Grzmucka, z pozoru zaniedbana, bo w kaftaniku, ale baczna, poważnie, przychylnie podejmowała gości słowami dobrymi i naleweczką. Wiadomo: była z domu Bielska, taka już przyroda sprosta szlachecka. Tylko na podstolica Bonifacego Kochanowskiego Korwina ze zem spojrzęła pani gospodyni; bo ten sobie pukle włosów, poskręcane rurkowato przy skroniach, osypał pudrem mącznym, i wstążkę na karku uwiesił.

— O, jakie to loki sobie wypuścił. Ha... — mruknęła jejmość do Bernasia, który krzątał się ważny, a prędki, chociaż był ciężki.

Jakoś jednak i dyskusja poszła żwawo i nie majestatycznie celebrowano, bo wszyscy byli zgórzy zgodni, tylko chcieli być mówni, na cudze zdanie łowni, podchwytyliwi.

Pan Tadeusz Łódzia z Wielkiego Dzwonowa Rogaliński przeznaczony już po temu siwizną wy-

głodu i dźwięcznie mocnym głosem, zagajał sprawę.

— Mościpanowie. Detrunkacja niektórych praesuperanter położonych pretensyj zakonotowana wyraźnie, pretensje wzajemnie oddalone.

— Ale...? — ozwał się nagle pan Maciej Tymiański.

— O co jeszcze waćpanu?

— Nic, nic... — Pan Tymiański wygładził brodę i słuchał poważnie.

— Nadsiewy i inne powinne bonifikacje, z gruntów sobie wzajemnie gwałtownie zagarnianych — (Grzmucki ani drgnął) — ...spłacone, oddane, wyrównano.

— Interim... — zaczął pan Tymiański. Spojrzano na niego; chwila ciszy, i dalej.



— Likwidacja sum oddytamentowych i nie-doborowych na mocy inwentarza prowizorjalnego: ugodzona.

— Zgoda, zgoda! — wołał nie szczypliwy, a pojednawczy (na ów dzień jeden) miecznik Jagniałkowski.

(c. d. n.)

Dr M. KASTERKA

Gdy Akademia Francuska przyjmuje w Chantilly

Jednym z najładniejszych epizodów uroczystości na cześć 300-letniej rocznicy Akademii Nieśmiertelnych Francuskich była niezaprzeczenie wycieczka do Chantilly, gdzie w programie było zwiedzenie muzeum oraz podwieczorek i koncert rogów myśliwskich.

Chantilly!... Już sama nazwa ma w sobie coś koronkowego, lekkiego, romantycznego. Chantilly dało Francji oprócz całej rodziny Kondeuszów, wcale nieobojętnych Polakom, bo kilka razy kandydowali oni do tronu polskiego, a była to rodzina znana ze swego bohaterstwa i geniuszu wojennego, i dwie romantyczne i melancholijne postacie Mademoiselle de Clermont i słynnego duc'a d'Enghien, syna ostatniego z Kondeuszów.

Mademoiselle de Clermont — Kondeusze mieli i Clermont — była wnuczką wielkiego Kondeusza, właśnie tego, co go pragnęła dla Polski mądra Marja-Ludwika i Jan-Kazimierz. Prześliczna dwudziestoletnia dziewczyna, bardzo wykształcona i inteligentna, wcześniej osierocona przez rodziców, znajdowała się pod opieką starszego króla. Miała swój dwór w Chantilly, zimę przepędzała w Wersalu, lub w Paryżu, ogólnie lubiana i podziwiana. Pretendentów do ręki uroczej księżniczki nie brakło. Cóż kiedy Amor spletał figla i śliczna Ludwika zakochała się na zabój w arystokracie wprawdzie dobrego, ale nie królewskiego rodu, Kondeusze byli boczną linią Burbonów — księciu de Melun. Co jej się w nim spodobało? trudno powiedzieć, bo duc de Melun był poważny, mimo lat zaledwie 30, nie lubił czytać rzewnych romanów, którymi zachwycał się podówczas dwór, miał raczej surowe zasady i obyczaje i okazywał mało zainteresowania pięknym damom. Może właśnie ten chłód i pewna surowość tak zaimponowały

młodej księżniczce. Dość, że zakochana starała się o pozyskanie wzajemności, co zresztą łatwo jej nie przyszło, bo duc de Melun, będąc przyjacielem jej brata, nie chciał romansować z siostrą, a o małżeństwie nie mogło być mowy. Jednak czego nie dokáže młoda i ładna kobieta? Duc de Melun, wzruszony ciągłymi dowodami miłości księżniczki, przywiązał się do niej głęboko. Ciężka choroba



Muzeum Condé Chantilly - Henriette de France, królowa angielska.

Zaoszczędź przykrości mężowi

Mój mąż jest często w podróży, nocując w przeróżnych miastach i hotelach. Zaoszczędzam mu przykrej walki z pluskwami, zaopatrując go na drogę w pudełko KATOLU. Jestem wtedy pewna, że odpoczywa spokojnie, nietrapiiony żadnymi insektami.

młodej dziewczyny wyrwała mu nareszcie wyznanie i po dwóch latach prób kochankowie doszli do przekonania, że są stworzeni dla siebie. Mademoiselle de Clermont, bardzo religijna, zasięgnęła rady swego spowiednika, który zgodził się dać im ślub pokryjomu. Wszystkie modne damy XVIII wieku miały swoje „mleczarnie“, gdzie chodziły odgrywać rolę pasterek. Mademoiselle de Clermont też miała taką mleczarnię w Chantilly i tam odbył się jej ślub z księciem de Melun o drugiej godzinie w nocy. Świadcami byli mleczarka zaufana panny młodej, mąż mleczarki i stary sługa księcia de Melun. Młoda para obiecywała sobie szczerem pozyskać brata księżniczki i przy jego pomocy utrzymać zatwierdzenie swego ślubu przez króla.

Czy małżonkowie przedwcześnie pewni powodzenia zdradzili się ze swymi uczuciami? czy brat domyślił się prawdy? niewiadomo. Lecz na polowaniu, danem na cześć króla w Chantilly, ogromny jeleni wpadł zniecka na księcia de Melun i obalwszy go z koniem, zranił niebezpiecznie. Zrozpaczona księżniczka wyznała wtedy prawdę bratu, prosząc o możliwość pielęgnowania swego męża. Ale książę nie zgodził się na to, tłumacząc siostrze, że narazie trzeba się zająć królewskim gościem, aby go dobrze usposobić na przyszłość. Biedna Mademoiselle de Clermont musiała wystróić się i przyjmować króla, mimo śmiertelnego niepokoju o męża. Aby ją uspokoić, powiedziano jej, że książę de Melun ma się lepiej. Niestety, na drugi dzień, po wyjeździe króla, dowiedziała się, że mąż jej nie żyje.

Smutne losy panny de Clermont opisała we wcale niezłym romansie słynna autorka z XVIII wieku, pani de Genlis.

Tragicznym wspomnieniem znaczy również Chantilly książę d'Enghien, rozstrzelany na rozkaz Napoleona w fosach Vincennes, o świcie, tak, że żołnierze strzelali do latarki zawieszanej na jego piersi.

Ale Chantilly ma i inne weselsze „tytuły do sławy“ oprócz zamku, przepięknego parku i ogrodów, stworzonych przez słynnego Le Nôtre. Są to sławne koronki Chantilly, przeważnie czarne, ale przedziwnie lekkie i powiewne, oraz crème Chantilly, jeden z ulubionych przysmaków Francuzów. Nie pragnę wcale wkraczać w przywileje Melby,

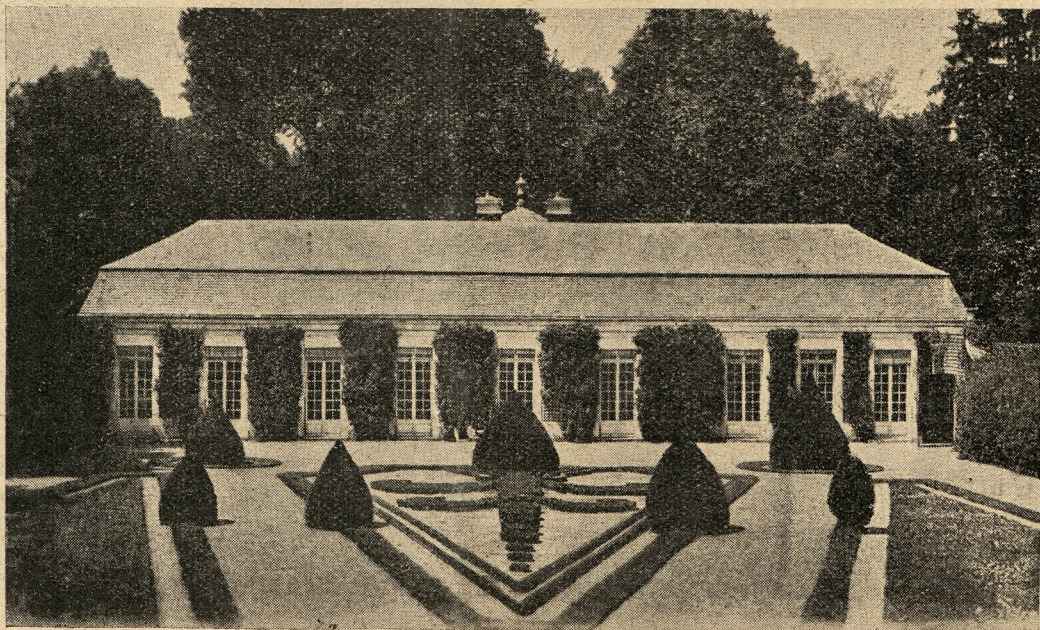
sympatycznej wyroczni w sprawach gastronomicznych, więc zaznaczę tylko, że śmietana Chantilly jest poprostu pewnym rodzajem bitej śmietany, bardzo lekkiej i oszczędnej.

Po wygaśnięciu linii Kondeuszów Chantilly należało do jednego z synów króla Ludwika-Filipa, księcia d'Aumale, amatora pięknych książek i koni. Pozostała też po nim niezwykle cenna biblioteka i piękne stajnie. A łączy się też z Chantilly i sporo polskich wspomnień, bo tu stali zawsze kwaterą za czasów Napoleona I słynni polscy szwoleżerzy gwardji i miasteczko zachowało o nich miłe wspomnienie.

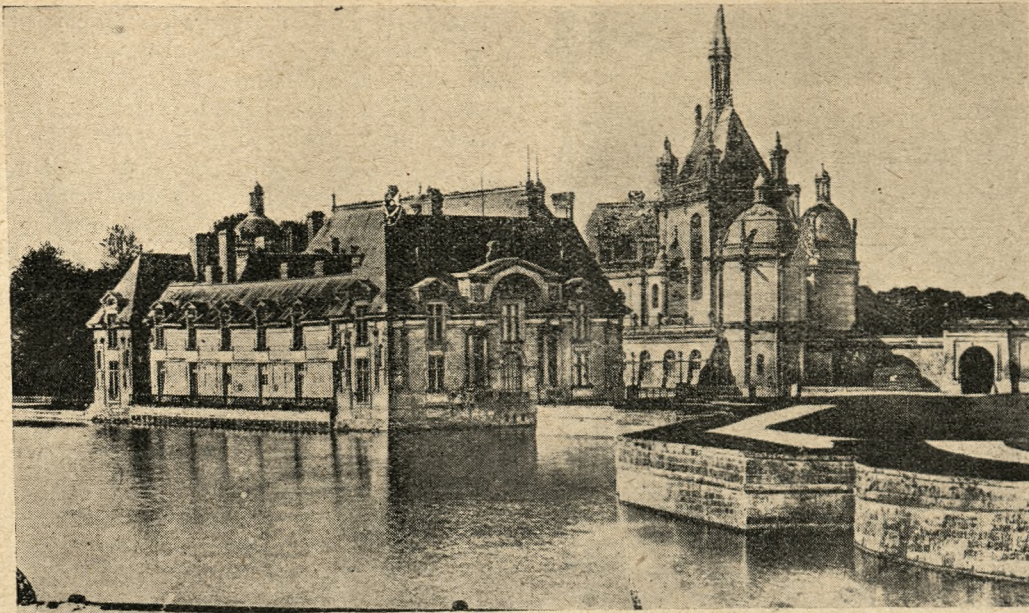
Książę d'Aumale, bezdzietny, zapisał Chantilly Akademji. Był coprawda i zmuszony do tego potrochu, bo za tę cenę pozwolono mu, jedynemu z Burbonów, pozostać do śmierci we Francji i zachować swój majątek. Rodzina miała mu to za złe, lecz pogodziła się z dokonanyim faktem.

W Chantilly wita nas, gdy przyjeżdżamy wraz z Akademią, aleja, uformowana z dwóch rzędów przepysznych marokańskich spahisów. Co za konie! co za jeźdźcy, jak z brązu wykuci. Czerwone burnusy falują tylko lekko z wiatrem. To pomysł marszałka Pétain, który, jako jeden z „Nieśmiertelnych“, włada w Chantilly. No i due d'Aumale bił się niegdyś w Algierze i w Marokko.

Zwiedzamy muzeum i bibliotekę. W bibliotece jednym z najciekawszych zabytków jest mała książka do nabożeństwa, oprawna we włosy Karola I-go, nieszczęsnej ofiary Kromwela, pozatem piękne stare druki, zbierane przez zamiłowanego amatora. W muzeum śliczny portret Mademoiselle de Clermont przez Nattier, niestety, niepodobna go dobrze sfotografować z powodu przewagi cudnych tonów błękitnych. Heroina smutnego romansu wygląda na prześliczną młodą dziewczynę, wesołą i pogodną. Cała kolekcja obrazów tureckich i wogóle wschodnich słynnego malarza-orjentalisty Decamps z ciekawem oświetleniem, dalej tragiczny niewielki obraz Laurens'a, przedstawiający rozstrzelanie księcia d'Enghien. Piękna i bolesna Henryeta, królowa Anglii, żona Karola I-go, świętego z rozkazu Kromwela, malowana przez Faes'a, i jej córka Henryeta, słynna „Madame“, żona księcia Orleanu, brzydka, ale mądra twarz. Pono umarła otruta, a Bossuet wypowiedział na jej pogrzebie swe najsłynniejsze kazanie. Jej mąż



Pawilon ogrodowy Sylwoji w Chantilly.



Zamek w Chantilly, strona południowa.

ożenił się potem z brzydką, grubą Niemką, której portret przez Largillière daje wyobrażenie o jej braku wdzięków. Są też tu i księżna d'Aumale, młodo zmarła, anemiczna, niebrzydka, ale mdła blondynka i księżna de Joinville, jej bratowa, prześliczna Brazylijka, o czarnych puklach i brzoskwiniowej cerze, obie malowane przez Lami.

Z muzeum idziemy do ogrodu t. zw. „Domu Sylwii” lub „Salonu Sylwii” i tu odbywa się wesoło podwieczorek. Kilka pań w jasnych toaletach, niezmiernie długich z bufiastymi rękawami, i ogromnych kapeluszach, spaceruje po uliczkach, niby wizje z 1830 r. Akademicy i nie-akademicy siedzą przy stolikach i posilają się, rozmawiając. Widać ciężką krepą postać Pierre Bénoît, wysoką szczupłą Józefa Bédier, dwie eleganckie sylwetki marszałka Pétain i generała Weygand, ten ostatni zawsze żywy i zadziwiająco młody. Uprzejmy, czujny na wszystko, p. Henryk de Montfort, sekretarz Akademii, opiekuje się cudzoziemcami, nie zaniedbując przytem i swoich. Na podwieczorek zaproszono i oficerów spahisów, wspaniale wyglądają ich ponsowe burnusy na tle zieleni. Poczciwy pułkownik spahisów, słysząc moje zachwyty na temat pewnego złotego kasztanka, prezentuje mi w braku konia jego właściciela, syna jakiegoś szeika marokańskiego. Wolałabym kasztanka, ale i młody Marokańczyk jest ciekawy przynajmniej z wyglądu — wysoki, z długą bizantyńską niemal twarzą i niezmiernie rasowymi rękami o długich szczupłych palcach. Co do rozmowy z nim ogranicza się ona do pochwał dla kasztanka, przyczem właściciel jego objaśnia mnie, że ma jeszcze drugiego konia równie pięknego, też swojego chowu, i bardzo żałuje, że nie może mi go pokazać. Pułkownik dodaje, że to najlepsze konie w jego pułku.

A tymczasem rogi i trąbki myśliwskie grają i grają w głębi zielonego lasu czy parku, ukryte w cienistych alejach. Może i w alei Ielenia, gdzie znalazł śmierć nieszczęsny duc de Melun. Grają stare melodje z czasów Kondeuszów, których może jeszcze słuchali i Jan-Kazimierz i Jan Sobieski, grają dzwicznie, donośnie, aż się rozlega po całym lesie. I pożegnają nas tą melodją, gdy przyjdzie czas wsiadać — co za okropność! — do autokarów. Za chwilę znika w błękitnawej mgłę przesyconej słońcem Chantilly, wspomnienia i stara pieśń myśliwska Kondeuszów.

Z teatrów

„Ludzie w bieli”, sztuka w 3 aktach Sidney Kingsle, przekład G. Olechowskiego. W teatrze Polskim.

Pokrewieństwo tej sztuki z filmem o tej samej nazwie i treści uwydatniła jeszcze bardziej inscenizacja, kładąca nacisk na efekty optyczne i akustyczne. Więć naprzód ta olśniewająca chwilami aż makabryczna białość: fartuchów lekarskich, sal operacyjnych, pokojów dla chorych, nawet pokoju asystentów. A potem od czasu do czasu zmechanizowany, wyprany z cech ludzkich głos-automatu, nawołującego po wszystkich salach, korytarzach, zakamarkach szpitalnych:

— Doktor Fergusson, doktor Fergusson...

Ten głos obiektywny i złowieszczy jak samo przeznaczenie, jest efektem najbardziej może wstrząsającym w całym spektaklu. Nawet przygotowanie do operacji z całym ceremonjałem klinicznym, przypominającym raczej obrządek tajemniczego kultu, niż zabieg medyczny, — błędnie wobec tego głosu z zaświata.

Taka sztuka ma dwa nurty akcji, dwa wątki, jeden głębszy, psychologiczny, odsłaniający powikłania między powołaniem, a prawem lekarza do życia indywidualnego, drugi powierzchowny, przypadkowy, komplikujący tamtą sprawę nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Młody i utalentowany doktor Fergusson, przyszła sława chirurgji, dzień i noc pracujący w szpitalu, którego jest opatrnością, ma narzeczoną z zamożnej amerykańskiej rodziny. Światowa panna kocha go i chciałaby choć trochę mieć go dla siebie. Tymczasem obowiązki zawodowe absorbują młodego lekarza do tego stopnia, że nie ma wieczoru wolnego dla narzeczonej. W jeden taki wieczór nerwy wyczerpane kilku ciężkimi operacjami w ciągu dnia i sprzeczką z narzeczoną, która nie chce, czy nie umie zrozumieć motywów jego postępowania, — odmawiają posłuszeństwa. Młodzianka studentka pielęgniarstwa, ścicha podkochująca się w Fergussonie, przychodzi do jego pokoju pod pozorem pożyczania skryptów, a potem sama rzuca mu się w ramiona.

Doktor Fergusson nie przypisuje temu faktowi żadnego znaczenia, poprostu po męsku przeszedł nad tą błahą sprawą do porządku. Ale sprawa wypłynęła po trzech miesiącach, kiedy za kilka dni miał się odbyć ślub Fergussona z Laurą (robiono właśnie zwyczajem amerykańskim jeneralną próbę), a jednocześnie trzeba było nagwałt operować



„Ludzie w białej” w Teatrze Polskim.
Nakoneczna i Warnecki.

nieszczęśliwą sanitariuszkę, która po potajnym i nieumiejętnym przerwaniu ciąży, dostała zakażenia.

Niebardzo dobrze wiadomo, dlaczego Laura asystuje tej operacji, chyba poto, aby z kilku słów chorej dowiedzieć

się prawdy, naprzód zemdleć, a potem zerwać z narzeczonym. Fergusson nie kocha przypadkowej ofiary swego zapomnienia ale ma dla niej gorącą litość i postanawia ją poślubić, wbrew swej karierze, dla której najświetniejsze horyzonty miało utworzyć małżeństwo z Laurą.

Sztuka musi jednak zakończyć się happy endem, rasowo amerykańskim. Biedna sanitariuszka umiera, a Laura, mądra smutnym cudzem doświadczeniem, wyprawia eksnarzeczonego na praktykę do Wiednia i oznajmia mu, że będzie na niego czekała. O ile pierwszy wątek sztuki, — zagadnienie, czy i w jakim stopniu powołanie pozbawia lekarza praw człowieka, — może obudzić żywe zainteresowanie i rozniecić dyskusję, — o tyle drugi — tragedia sanitariuszki, ma charakter najzupełniej przypadkowy i sensacyjny. Chwilami mamy wrażenie, że studentka zagieła parol na doktora. Zaryzykowała — nie udało się. Doktor nie opuścił narzeczonej. Wszystko to nie wzbudza w nas do niej specjalnego zaufania. Sympatja rodzi się dopiero, gdy przekonywujemy się jednocześnie z doktorem, że to było w gruncie rzeczy biedne, nieśmiałe, samotne stworzenie, które całą duszę włożyło w przeżycie, stanowiące dla mężczyzny nieważny epizod.

Doktora Fergussona z dużą prawdą wyrazu i z pogłębieniem psychologicznym grał Warnecki. On również doskonale wyreżyserował sztukę, nie zapominając o przestudjowaniu najdrobniejszych szczegółów medycznych. Miłą, trochę może zbyt pastelową Laurą była Nakoneczna, ale taki to już jest typ tych filmowych amerykańskich panien, że ich rysunek psychiczny jest mocno zatarty. Barszczewska z postaci sanitariuszki stworzyła subtelny poemacik czułości dziewczęcej. Pełen kapłańskiego niemal namaszczenia był Woskowski w roli naczelnego lekarza. Epizodyczne postaci lekarzy i asystentów miały doskonałych wykonawców.

Całość zajmująca dla laika, — dla lekarzy niewątpliwie przedstawia interes podwójny. Dotychczas żaden z nich nie odezwał się z jakimś zarzutem. Ja postawię jeden: że w tym amerykańskim szpitalu jest zbyt czysto i elegancko... w porównaniu z naszymi. To może obudzić wśród krajowych pacjentów niepotrzebne wymagania...

S. P. O.



Scena przed operacją w „Ludziach w białej”. Na noszach Barszczewska.

Wychowanie i szkoła



Gieront i Zakopane.

(fot. J. Jaroszyński).

JADWIGA ROGUSKA - CYBULSKA

STOSUNEK MŁODZIEŻY DO GÓR

Człowiek doby dzisiejszej, znużony życiem, ujętem w karby cywilizacji, czuje potrzebę wypoczynku na łonie przyrody i, jeśli tylko może sobie na to pozwolić, zażywa na ten cel letnie miesiące, lub tygodnie. Najsilniej potrzebę tę odczuwa młodzież, zamknięta przez dziesięć miesięcy w murach szkolnych, mieszkająca po wsiach, gdzie zażywanie swobodnego ruchu na wolnym powietrzu jest nader ograniczone. Dla niej też niewysłowiony urok ma dzika przyroda, czy w leśnej puszczy, czy wśród urwisk skalnych, czy na kępach i mieliznach rozlewnych wód, gdzie wyobraźnia przenosi ją do zamierzchłych czasów, do życia pierwotnego człowieka, walczącego z nieujarzmioną jeszcze naturą. A im bardziej prymitywne są warunki jej czasowego bytowania na łonie przyrody, im większe musi przezwyciężać trudności, aby podtrzymać swą egzystencję, lub przebyć zamierzoną drogę, tem większy urok ma dla niej ten pobyt, tak różny od pobytu w mieście, we własnym, wygodnym domu. Budzą się w niej wtedy nieznanne siły, w codziennym miejskim życiu nieużytkowane; budzi się niezwykła energia, pomysłowość, zaradczość, zmysł orientacyjny w otoczeniu, bystrość decyzji, odwaga i wytrwałość, dotąd niewypróbowana; budzi się przede wszystkim niczem nietamowana radość życia. Jak pożądanem zaś jest rozwijanie w mło-

dzieży tych cech, o tem nie trzeba nikogo przekonywać.

Wynika więc z tego, że pobyt czasowy młodzieży na łonie dzikiej przyrody przynosi jej bardzo wiele korzyści, tak dla zdrowia ciała, jak i nerwów, oraz ducha. Na tych właśnie zasadach oparta jest idea harcerstwa, propaganda turystyki, pieszych wycieczek.

Terenem, najlepiej się do tych celów nadającym, są góry wysokie, w naszej ojczyźnie jedyne — Tatry. Turystyka górską jest najwyższym stopniem kwalifikacji obcowania z dziką naturą, dostarczając największych i najróżnorodniejszych trudności i najszerzej skali wrażeń. Oba te zaś warunki wynikają z zupełnego odosobnienia świata górskiego od wpływów cywilizacji, od urządzeń technicznych i ulepszeń. Natura, pozostawiona sama sobie, odwiecznym swoim prawom, króluje na tym terenie niepodzielnie.

Doniosłą potrzebę stwarzania takich rezerwatów, czyli odosobnionych obszarów dzikiej przyrody, zwanych Parkami Narodowymi, lub Parkami Natury, zrozumiała już oddawna ludzkość, zmęczona coraz bardziej gorączkowem i hałaśliwym życiem dwudziestego wieku. Wszystkie niemal kraje tworzą w swych granicach takie Parki, bądź na terenie gór, bądź leśnej puszczy. Naprzykład Kanada ma ich około 20. Wśród kilku takich re-



Góry w śniegu z Hali Gąsienicowej. (Fot. M. Szymański).



Dojenie owiec na hali. (Fot. M. Szymański).

zerwatów na terenie Polski, rezerwat Tatrzański jest najbardziej dziki i niedostępny. Narazie zakreślono mu granice tylko w części Tatr Polskich, obejmującej Dolinę Pańszczyzny i przyległe do niej szczyty. Skasowano już znaki na ścieżce, wiodącej do niej (w lewo od schroniska T. T. na Hali Gąsienicowej) i pozwolono tam żywiołowi lasów smrekowych i kosodrzewinowych stopniowo ją zarastać. Jednak nietylko ta część naszych gór, ale i całość ich jest to ten świat zaczarowany, ta świątynia przyrody, w której człowiek podziwia jej potęgę, niewysłowione piękno i majestat.

Ażeby te wrażenia móc odbierać, każdy tury-

sta obowiązany jest uszanować pewne przepisy odpowiedniego zachowania się w górach.

Niestety, nie wszyscy się do tego stosują.

Jakże rażącym na tle tego otoczenia jest krzykliwy głos ludzki, rozzwierający słodką ciszę, kołysaną szumem płynących ze stromizn potoków. Jak przykrem jest po dotarciu na szczyt wyniosły, odkrywający wspaniałe widoki, lub przy przemysaniu się przez leśne chaszczki, czy ukwiecone zbocza zobaczyć porozrzucane tu i tam zatłuszczone papiery, skorupy od jaj, lub opakowania przybiorów fotograficznych! Jak smutno wygląda nadłamana ręką wandala gałąź limby, otoczonej specjalną opieką rzadkiej odmiany sosny, lub porzucony na ziemię pęk wyrwanych ze skalnego ustroń ginących już szarotek! Jakże szpetnie a śmiešno wyglądają na tle tej dzikiej przyrody umalowane twarze, przesadnie zaondulowane włosy i pretensjonalne ubrania, zuchwałę, impertynenckie miny!

Młodzież dzisiejsza, zwiedzająca tak tłumnie góry czy w zespołowych wycieczkach, czy grupami, lub pojedynczo, nie zachowuje się właściwie. Wydaje jej się, że wybiegła na podwórze szkolne, że poszła w góry poto, aby się wykrzyzczyć i dać folgę swym wybrykom niekulturalnym, swej niechlujności. Wydaje jej się, że góry są tylko dla niej, że wszyscy są zmuszeni słuchać jej dzikich wrzasków, patrzeć na odpadki jej jedzenia, ocierać się o jej rozbrykanie; sądzi ona, że być na łonie dzikiej przyrody, to znaczy samemu stać się dzikim, nieopanowanym. A sekundują jej w tem nieraz i dorośli, dając niewłaściwy przykład. Jest w tem gruba pomyłka. Dzikość cywilizowanego człowieka zniszczy w Tatrach dzikość przyrody. Wrzaski zakłócają ich naturalny spokój, śmieci zeszpecą krajobraz, wandalizm wypłeni najpiękniejsze okazy flory, a rozruchany sposób bycia skażi cały urok pobytu w górach.

Góry są dla wszystkich. To znaczy: jeden nie może drugiemu zabierać ich piękna, niweczyć możliwości wypoczynku. Starsi muszą odpowiednio wpływać na młodzież, ta ostatnia musi się liczyć z obecnością starszych, którzy jej bynajmniej nie ograniczają możliwości radowania się górami. Należy pamiętać o niektórych nieodzownych przepisach, przypominających, że:

W Tatrach nie wolno krzyzczyć, hukacć, strzelacć na wiwat.



Tatry granitowe. Przełęcz Szpiglasowa nad doliną Pięciu Stawów. (Fot. H. Schatentech).

W Tatrach nie wolno rzucić ani jednego papierka czy ogryzka, lecz należy ukryć nieużytki w jakieś wgłębienie, przycisnąć kamieniem.

W Tatrach nie wolno niszczyć, wyrwać podlegających opiece roślin. Nie wolno zrzucać z góry kamieni.

W schroniskach nie należy szpeciwać budynków głupimi napisami i ryciem liter. (Na uwiecznienie bytności są specjalne księgi, których udzieli gospodarz schroniska). Nie należy popisywać się lekceważeniem obecnych, gwizdaniem na cały świat, nonszalacją i trywialnością.

Jeden z największych taterników doby przedwojennej, pierwsza ofiara narciarstwa, nasz sławny kompozytor, Mieczysław Karłowicz, rzucił światu taternickiemu pamiętne hasło, stanowiące jego turystyczną ewangelję:

„Sznujcie ciszę i majestat gór!”



Trzy siostrzyczki góralskie.

(Fot. M. Szymański).

Z. ZBYSZEWSKA

I one mają prawo do słońca i życia

(REPORTAŻ)

W sali duszno mimo otwartych okien. Kilkadziesiąt dziecinnych par oczu nieruchomo patrzy na drzwi, za którymi odbywają się badania lekarskie. A w główkach jedna, uparta myśl, w serduszkach — jedno pragnienie: — „czy wezmą mnie na kolonje?”

Drzwi otwierają się:

— Pan doktor nie może dziś dłużej przyjmować. Przyjdźcie jutro o trzeciej.

— Jakto! I znowu jutro myć się „do połowy”! — krzyczy jakiś piskliwy głos z oburzeniem.

* * *

— Pani Wołoszowa, Hela pojedzie na kolonje, ale trzeba ją strzyć. Doktor stwierdził, że dziewczyna jest zawszona.

— Nieprawda. Moja córka zawszona! Nigdy! Całe cztery złote wpłaciłam, dwie koszule uszyłam i jeszcze mam oddać dzieciaka na posmiewisko, aby go jakiś tam dochtór strzygł. Nie, nie pozwolę! Zabieram pieniądze. Za cztery złote może i w domu zostać,

— Zgoda; pieniądze oddamy i Hela nie pojedzie. A co do włosów, to nie lekarz będzie je obcinał, tylko fryzjer.

— To co innego. Nie żaden wstyd, aby fryzjer dziecko ostrzygł. To nawet zdrowo i modnie. Ale co do wszów, to moja Hela ich nie ma.

* * *

— Proszę pani, mamusia powiedziała, że ja nie pojedę i tak na kolonje.

— Dlaczego, Zosiu?

— Bo tu napisane, że trzeba mieć aż trzy pary majteczek, a ja ich wcale nie mam.

* * *

— Panie Antczuk, Felka nie będzie mogła być przyjęta na kolonje, bo ma zaraźliwą chorobę skórą, ale Zosię weźmiemy.

— Zośki nie dam. Z czegobyśmy żyli? Toż ona pod koszarami użebrze zawsze nietylko chleb, ale i pieniądze.

Zosia ma osiem lat!



Wyjazd na kolonje.



Zabawa w piłkę.



Grupa dzieci na kolonji.

(Fot. J. Jaroszyński).

Oto próbki rozmów, jakie się słyszy przy organizowaniu kolonij dla najbiedniejszych dzieci. Dzieci gruźlików, alkoholików i wszelkiej, bezimiennnej nędzy. Ojca najczęściej wogóle niema. To też o zapłaceniu trzydziestu złotych za czterotygodniowy pobyt dziecka na wsi — niema mowy. Dobrze, gdy matka „kapanią” wpłaci pięć złotych, ale dla większości i to za dużo. A jednak branie dzieci całkiem, lub nawet nawpół darmo nie jest wskazane. Wszelka bowiem „darmocha” ma to do siebie, że demoralizuje, budzi nowe wymagania, stwarza fałszywy światopogląd, według którego rząd i społeczeństwo mają obowiązek dawać i jeszcze raz dawać.

To też godną pochwały jest myśl, aby rodzice uiszczali zapłatę za dzieci — pracą. Matki mogą „odrabiać” szyciem, naprawianiem, praniem. Tego rodzaju robota zawsze się znajdzie przy każdym ośrodku pomocy dla ubogich. Zebraną odzież należy przerobić i oczyścić nim się ją komuś znowu rozda. Bezrobotny fryzjer „płaci” za swą córeczkę strzyżeniem zawoszonych dzieci. Albo też rodzice mogą „odrabiać” należność za wyjazd dzieci — dwoma, trzema dniami pracy przy budowie np. domu ludowego. Z osobistego doświadczenia wiem, że tego rodzaju postawienie sprawy spotyka się początkowo z oburzeniem wśród wielu bezrobotnych rodziców. Ale przy stanowczości, posuniętej aż do ewentualnego skreślenia dziecka z listy wyjeżdżających na kolonje — można otrzymać dobre rezultaty. Zresztą jeden taki „przykład” wystarczy. A wielu cieszy się nawet z tej pracy.

* *

Nareszcie dzień wyjazdu. Większość malców po raz pierwszy jedzie pociągiem. Za szóstym posterunkiem widać z okien wagonu kilka zagonów żyta i kępę drzew.

— Jak tu ładnie! Proszę pani, czy tam, gdzie my jedziemy, będzie też tak pięknie?

* *

Pierwszy obiad. Marysia ze zdumieniem patrzy na swoją „porcję”. „To wszystko dla mnie, a moja siostra czy też dostanie?”

Po obiedzie dzieciaki dostają agrest. Irenka (siedmioletnia) ogląda go z niedowierzaniem.

— Z czego to jest?

— Głupia, — to się piecze. Moja mamusia umie takie zrobić.

Nazajutrz, po śniadaniu:
— Dzieci, co wam się do tej pory najbardziej podobało?

Wrzaskliwe głosiki wychwalają pociąg, obiad, agrest, „tyle chleba na śniadanie”, las. Mała Janka milczy.

— No, a tobie, Janiu?

— Najprzyjemniej jest, że śpi się samej na całym sienniku.

*

Kupiono szczoteczki do zębów i proszek. Proszek miętowy, jak dzieci mówią „z wiatrem”. Higieniczne poczynania dały niespodziewany rezultat: trzech malców dobrało się do proszku i... zjadło go.

*

Za całą niezmierną pracę i trud, włożony w kolonje, jedyną nagrodą jest widok opalonych buziaków i wykres „przybytku na wadze”. Wdzięczność — jest to uczucie prawie nieznanne wśród dzieci. A rodzice? Ma się czasem wrażenie, że ludzie ci sądzą, iż świadczą łaskę, pozwalając zajmować się swemi „pocieciami”.

Bogusław Kuczyński: „Kobiety na drodze”. „Rój”. Warszawa 1935.

Może to i lepiej byłoby, gdyby ta książka prosto nazywała się „Erotyki” i nie pretendowała narzuconemi sztucznie pozorami do szablonu beletrystyki. Te krótkie suche, protokolarne sprawozdania ze spotkań bezdomnego mężczyzny z bezimiennymi kobietami, nabrzmiałe są treścią niedopowiedzianych uczuć i namiętności, wzdymających szorstką łupiną słów, podobnie jak skryte wulkany wydymają kore ziemni.

W sumie jest to jeszcze jedna książka o niedoli kobiecej, odarta z sentymentu, z tkliwości, z jakichkolwiek emocjonalnych czy rozumowych wniosków, może dlatego właśnie jeszcze bardziej przejmująca. Mężczyzna odgrywa tu rolę przypadkowego lustra, odbijającego przeżycia spotkanych na drodze kobiet dokładnie i beznamietnie, jak klisza fotograficzna.

O tym mężczyźnie dowiadujemy się tylko, co on robi, bardzo rzadko — co myśli, nigdy, co czuje. „Nie zwierza się ani czytelnikowi, ani spotkanym kobietom. Nie on jest bohaterem książki, ale „kobiety na drodze”. Ich losy mają głos, chociaż one same nie przemawiają, jak to zwykle się czyta, w książkach, w cudzysłowie. Życie monologuje za nie w sposób tak jednostajny i szary, jak samo jest szarem i jednostajnym. Autor, debiutant obrał sobie drogę największego oporu. Miał odwagę być sobą; z wielką prostotą i oszczędnością słowa, graniczącą ze skąpstwem, notować fakty, gesty, spojrzenia, pozornie pozbawione związku, wagi gatunkowej, a jednak zespalające ludzi mocnymi węzłami podświadomości, przytłaczające ich wyobraźnię ciężkimi kamieniami nieuniknionych przeznaczeń.

„Kobiety na drodze” są interesującym fenomenem odwróconej linii rozwojowej. Zazwyczaj młodzi autorzy zaczynają od lekkomyślnej rozrzutności, starają się w swojej pierwszej książce zamknąć wszystko, co wiedzą i czego pragnęliby się dowiedzieć o sobie i o wszechświecie, tę swoją wiedzę i niewiedzę plawią w powodzi werbalizmu, który niejednokrotnie zatapia ich indywidualność bez reszty. Dopiero lata doświadczenia uczą umiejętności szafowania zdobyczami, mądrej oszczędności słowa. Kuczyński zaczął formalnie od tego na czym nieraz kończą stateczni pisarze, wyszumiawszy się za młodu stylistyczną pianą: od surowego klasycyzmu, niepozabawionego jednak podskórnej egzaltacji. Nie przeszedł jeszcze odry baroku. Jego następne książki pokażą, jak długo zdola utrzymać się w linii. S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

PO ŚMIERCI 12 NARZECZONYCH WZIĘŁA ŚLUB Z TRZYNASTYM.

W Lille odbył się ślub panny Genowefy Baurodin, jak o tem donoszą pisma paryskie. Nicby w tem nie było niezwykłego, gdyby nie fakt, że zaręczyny p. Baurodin były 15-temi zrzędu.

Już pierwsze zaręczyny „jubilatki” z młodym oficerem armji francuskiej przed 1914 rokiem zakończyły się tragicznie, bo śmiercią narzeczonego na froncie.

Naręczona została pielęgniarką w szpitalu wojskowym i tu poznała młodego lotnika, z którym zaręczyła się. Ale i to nie trwało długo, gdyż i drugi naręczony zginął podczas walk powietrznych.

Trzeci naręczony został przejechany na śmierć przez auto, czwarty, piąty i dziewiąty ulegli chorobie, szósty i dziesiąty zarazili się chorobą od pacjenta i zmarli, ósmy odebrał sobie życie po krachu finansowym, który przyprawił go o wielkie straty, jedenasty i dwunasty padli ofiarami katastrof kolejowych.

Pomimo to trzynasty skolei naręczony, niezrażony fatalnym losem swych poprzedników, przystąpił jednak do ołtarza i złączył swoje losy z panną Baurodin.

REKORD ROZWODÓW W JUGOSŁAWJI.

Zdawałoby się, że w dziedzinie rekordów wszelkiego rodzaju Ameryka jest bez konkurencji. Tymczasem okazuje się, że w dziedzinie tak w Ameryce pospolitej, jak rozwody, rekord zdobyło miasto Nowy Sad w Jugosławji. Przed sądem tamtejszym ogłoszono ostatnio w ciągu jednego dnia 24 rozwody. Tak wysokiej cyfry rozwodów, ogłoszonych w jednym mieście w ciągu jednego dnia, nie osiągnęła nawet Ameryka.

OD CZARCZAFU DO TOGI.

Pani Beyal-Muntr, młoda i urodziwa Turczynka, została mianowana prezesem sądu. Jaki szybki skok od czarczafu do togi! Pod tym względem Turcja wyprzedziła nas niesłychanie. W Polsce bowiem kobieta marzyć jeszcze nie może o takim stanowisku w sądownictwie.

WYBORY PARLAMENTARNE NA WĘGRZECH.

W poprzednich wyborach Węgierki uzyskały 6 miejsc w parlamencie, w ostatnich zaledwie 2.

Przeszła po raz czwarty socjalistka — pos. A. Kethlv. Druga posłanka — p. Melczer jest z partji rządowej, jako posiadaczka dużej majątności zdobyła sobie popularność rozwinięciem dużej akcji społecznej. Chociaż nie należy do stow. ściśle feministycznych, wystąpiła w ostatnim roku z gorącą obroną praw kobiet do pracy, na które, jak u nas, były na Węgrzech podnoszone silne ataki.

JANE MISCHE.

Feminizm francuski poniósł wielką stratę z powodu śmierci Jane Mische, jednej z najwybitniejszych działaczek feministycznych francuskich. Była ona założycielką dziennika „La Française” oraz Vice-Prezeską Unji Francuzek, domagającej się prawa głosowania dla kobiet. Jane Mische w ostatnich miesiącach prowadziła życie mniej czynne z powodu choroby.

Siostra jej, pani Chuiliat, jest znana jako założycielka Biblioteki Kobiecej Feministycznej, gdzie można znaleźć ogromne materiały dotyczące ruchu feministycznego.

Dr M. Kastarska.

KURS PRZYSPOBIENIA ZAWODOWEGO DO PRACY OŚWIATOWEJ.

Polska Macierz Szkolna otwiera w roku szkolnym 1935/36 dla maturzystek roczny żeński kurs przysposobienia zawodowego do pracy oświatowej, koncesjonowany przez Państwowe Władze Szkolne.

Program kursu obejmuje działy: bibliotekarski i instruktorsko-świeclicowy. Po ukończeniu kursu będą wydawane świadectwa na wykwalifikowane bibliotekarki, lub instruktorki, kierowniczkę świeclic.

Wobec rozwijającej się akcji świeclicowej i bibliotekarskiej w Polsce kurs przyciągnie niewątpliwie poważną ilość młodych kandydatek na wykwalifikowane pracownice społeczne. Zapisy: ul. Krak. Przedmieście 7 m. 4, II piętro, front.

DZIELNA BOTANICZKA.

Miss J. Hutchinson, która w roku ubiegłym przywiozła do ogrodów botanicznych w Kew w Londynie i w Edynburgu rzadkie okazy flory grenlandzkiej, w tym roku wybrała się na poszukiwanie roślin do podbiegunowych okolic Alaski w pobliżu przylądka Barrow. Spóźniwszy się na ostatni parowiec, pomimo mrozu 70 stopni Fahrenheita, podróż na 500 milowej przestrzeni do wyspy Herrchel w Japonii odbyła sankami, zaprzęgniętymi w psy. W ten sposób udało się jej dopaść jeszcze okrętu i powrócić na czas do kraju.

POETKA I ŁOWCZYNI LWÓW.

Stella Benson, jedna z najpoczytniejszych autorek angielskich, umarła w Chinach w wieku lat 41. Umarła na zapalenie płuc, a do śmierci jej przyczyniła się bezwątpnie jej żądza przygód i chęć zbierania materiału do powieści o krajach egzotycznych. Jakiś czas pracowała w oddziale rentgenologicznym w szpitalu Rockefellera w Pekinie, zwiedziła Meksyk, Góry Skaliste (The Rockies) Stanów Zjednoczonych, Indje Zachodnie, w których mało nie straciła życia przy trzęsieniu ziemi. W Indjach polowała na lwy, poczem udała się do Chin na teren wojen domowych, by osobiście zbadać stosunki. W r. 1924 zwiedziła Laos, jedną z najprymitywniejszych dzielnic Indochin.





1



1. Grupa węgierska w malowniczych strojach ludowych.

2. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TAŃCÓW LUDOWYCH W HYDE PARKU (LONDYN). Łotewskie dziewczęta tańczą w strojach ludowych z przed dwustu laty.

3. Miss Hiszpanja, która zdobyła tytuł Miss Europy 1935 r., tańczy przed zebraną publicznością malownicze tańce swego kraju.

4. Miss Czechosłowacja 1935 r. w stroju narodowym fotografowana w Torquay podczas wyborów na Miss Europe.

5. Grupa polskich tancerzy i tancerek bierze udział w defiladzie w Hyde - Parku.

2



3

4



5



SADZONKOWANIE I ODKŁADANIE RÓŻ

Róże otrzymane przez obydwie te sposoby mają tę wielką zaletę, że nie wypuszczają dzikich odrosli; jeśli przypadkiem zmarzną ich górne pędy, to po przycięciu odradzają się przez wypuszczenie nowych gałązek z korzeni. Niestety, nie wszystkie odmiany dadzą się rozmnażać w ten sposób.

Sadzonkować można od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Dla zwykłego amatora najlepszym czasem rozmnażania jest lipiec, ponieważ wtedy gałązki róży są już dostatecznie zdrewniałe i wydają łatwo korzonki bez pomocy ciepłego podłoża w inspekcje.

Na sadzonki używać można każdej gałązki, bez względu na to, czy ona już kwitła, czy nie. Jeśli kwitła, to dobrze, gdy kwiat został wczas ścięty, aby rana miała czas doskonale zaschnąć, a sama gałązka się wzmocnić. Cięcie uskutecznia się pod oczkiem na $\frac{1}{2}$ cm od niego, wybierając zdrowe i silne gałązki. Najlepiej, gdy obcięto gałązkę na 5 oczek, z których trzy idą w ziemię, a dwa zostają nad nią. Sadzić sadzonki należy bezwzględnie świeże. Gdy gałązka jest choć trochę przewędła, należy ją przedewszystkiem odświeżyć, wkładając na kilka, lub kilkanaście godzin do wody. Dobrze jest tak ciąć, żeby pozostała piętka, czyli kawałek tej gałązki, na której sadzonka wyrosła. Niestety, nie zawsze jest to możliwe i, w ostateczności bez tego obejść się można. Przygotowując gałązkę do sadzenia, obcinamy jej nożyczkami wszystkie liście, za wyjątkiem wierzchołkowego, który jedynie skracamy, aby z pięciu listków tylko dwa pozostały.

Grządka, na której flancuje się sadzonki róż, powinna mieć ziemię żyzną, ciepłą, przewiewną. Najlepsze położenie jest pod murem, lub płotem, zaciszne, jasne, ale osłonięte od zbyt silnej operacji słonecznej. Może być od strony północnej, gdzie słońce tylko na krótko zagląda.

Dobre rezultaty daje u nas również sadzonkowanie róż w doniczkach, które się na grządce zagłębia po brzegi. Wsadzoną sadzonkę obciska się naokoło palcami i zaraz nakrywa szklanką, słoikiem, lub specjalnym dzwonem. W braku wyżej wymienionych naczyń można doskonale przykrywać sadzonki płytko paczką, z której wybito dno. Wierzch skrzyneczki przykrywa się szklanymi tafelkami. Sadzonkę od sadzonki powinno się umieszczać mniej więcej co 10 cm. Średnia paczka przykryje ich więc dość dużo. W miarę wysychania ziemi podlewamy sadzonki letnią wodą. Wkrótce pozostawione listki opadają, paczki roz-

wijają się, co jest dobrą oznaką. Przyjęcie sadzonek nastąpi w 6 tygodni. Mniej więcej po 4 tygodniach od posadzenia podkłada się pod brzeg dzwonu, czy szklanki drewno, lub kamyk, aby roślinki przyzwyczaić do świeżego powietrza.

Po 20 września wyjmuje się sadzonki z gruntu i sadi do doniczek, a jeśli w nich były od razu sadzone, to wyjmuje się je z ziemi i przenosi się na widne okno, chłodnego pokoju, gdzie zimują. Na wiosnę, w połowie maja wysadza się sadzonki na miejsce stałe, gdzie wiele z nich kwitnie jeszcze tego samego roku. Pamiętać należy, iż na sadzonce nie należy pozostawiać listków, gdyż te nim opadną, wyparowują wszystką wodę z zasadzonych gałązek.

Drugi sposób rozmnażania róż szlachetnych jest zapomocą odkładania. Tym sposobem możemy mnożyć i róże herbaciane, których nie można sadzonkować. Na odkład wybiera się długą gałązkę i kładzie się ją do małego, naprzód przygotowanego rowka, głębokiego na 8—12 cm. Gałązkę przytwierdza się do ziemi przy pomocy drewnianych kołeczków.

Dla zapewnienia sobie i przyspieszenia zakorzenienia robi się przed położeniem gałązki do rowu nacięcie na niej. Nacięcie robi się pod oczkiem tej części gałązki, którą ma się przykryć ziemią.

Najlepszą porą odkładania róż jest koniec maja, zwykle zakorzeniają się jeszcze przed zimą. Zakorzeniony odkład odcinamy ostrym nożem od rośliny macierzystej i zostawiamy go przez zimę w tem samym miejscu.

Co do zimowania róż odłożonych, to najlepiej zostawić je w gruncie, przysypując dobrze ziemią, naznaczywszy poprzednio, gdzie one rosną. Dopiero na wiosnę przesadzić, gdzie trzeba, wykopując ostrożnie z dna bryłkę korzeniową.

Odkłady oczywiście można robić tylko u róż krzaczastych, gdyż przyginanie róż piennych musiałoby, zwłaszcza amatorowi, sprawić wiele trudności.

Marja Dąbrowa.

Bronisław Lissner

Warszawa — Wspólna 47, tel. 920-67

WYTWÓRNIA BIELIZNY DAMSKIEJ

MĘSKIEJ, PYJAMAS, POŚCIELOWEJ.

Specjalność: w y p r a w y ś l u b n e.

Rok założenia 1909

Dom i gospodarstwo

TA SIĘ PLAMA NIE WYPIERZE...

Napewno, jeżeli pomiędzy chwilą splamienia tkaniny, a chwilą wywabiania lub spierania plamy „legną przysłowiowe wieki“, tak sprzyjające utrwaleniu każdej plamy.

Ale... ale tam, gdzie wypowiemy walkę zdradliwej cieczy, tłuszczom, płynom barwiącym natychmiast, gdy tylko targną się na nieskazitelną powierzchnię tkaniny, walka przestaje być beznadziejna, przeciwnie wróg ulega zwykle z łatwością przemocy.

Do najsilniej zagrożonych, szczególnie w sezonie owoców, należy zazwyczaj bielizna stołowa.

Nie każda pani domu docenia niebezpieczeństwo soków owocowych zwiększające się tam, gdzie wchodzi w grę kosztowna nieraz, wykwinna bielizna kolorowa. Biała — jak biała znosi łatwiej przemoc wywabiania plam, kolorowa buntuje się niejednokrotnie dokumentując swoje niezadowolenie „połami walki“ o wyraźnie zmienionym kolorycie.

W imię dobra bielizny stołowej pamiętajmy przede wszystkim o serwetkach bibułkowych, które zdobyły sobie prawo bytu, przestały być już dawno wyrazem upośledzenia życiowego, plamą na horyzoncie stołu jadalnego. Do owoców nie powinno się podawać innych serwetek jak bibułkowe. Umieszczone w barwnej, lub wytwornej metalowej podstawie o specjalnej, dostosowanej do swojego przeznaczenia konstrukcji stanowią ozdobę pomysłowo nakrytego stołu. Z żywym kolorytem nakrycia podwieczorkowego harmonizują zgodnie, albo też podkreślą jego barwność pogłębioną w kolorycie plamą. Na bieli obrusa, ułożone zręcznie i lekko przypominają kielichy kwiatne o pastelowym zabarwieniu. Żywot ich jest wprawdzie krótki, ale i zachęcająco tani, tak, że „jednorazowość“ serwetek bibułkowych nie podkopuje najoszczędniejszego budżetu.

A teraz wróćmy do plam, które pomimo poważnej ostrożności dotarły do powierzchni naszej bielizny stołowej.

A więc pierwszą zasadą jest niepozostawianie splamionej bielizny stołowej „aż do chwili wielkiego prania“, a zapranie plam, wysuszenie miejsc zwilżonych i schowanie dopiero w tym stanie do worka, kosza, czy szuflady przeznaczonych na „bieliznę do prania“.

Bieliznie stołowej zagrażają w pierwszym rzędzie: soki owocowe, napoje (herbata, kawa, wino), tłuszcze i rdza.

Pozatem nowa bielizna stołowa, jeżeli przeszła przez maszynę do szycia nosi na sobie niejednokrotnie ślady oliwy do maszyny, które trzeba obowiązkowo zebrać w zimnej wodzie z mydłem. Prane w mydlinach o normalnej temperaturze nie tylko nie znikną, ale jeszcze się utrwala.

Omawiając pokolei wzmiankowane wyżej plamy zaczniemy od owocowych.

Soki owocowe (z owoców świeżych) usuwa się radykalnie przez podkadzanie splamionych miejsc dymem palącej się siarki. Gdy plama pod wpływem podkadzania zniknie, trzeba ją natychmiast sprać ciepłą wodą z mydłem i starannie, kilkakrotnie spłókać czystą wodą.

W obydwóch wyżej przytoczonych wypadkach nadwyraz skuteczny jest płyn, który łatwo przyrządzić w domu podług zamieszczonego poniżej przepisu:



Czereśnie
podane z budyniem
Śmietankowym
Dr. A. Oetkera
są wysmienite i odżywcze

Zwracajcie uwagę na znak ochronny

„Jasna Głowa“

Dr. A. Oetker



10 gramów sody oczyszczonej, 10 gramów chlorku, 10 gramów soli glauberskiej namoczyć w pięciu szklankach wody. Pozostawić w ciepłe na przebieg tygodnia, mieszając co pewien czas łyżką drewnianą zupełnie czystą, nie używaną do tłustych potraw. Naczynie powinno być przez cały czas szczelnie przykryte (owiazane pergaminem). Po tygodniu zlać płyn w butelkę. Używać do wywabiania zastarzałych, uporczywych plam (wino czerwone, soki owocowe). Dobrym, aczkolwiek dosyć kosztownym sposobem wywabiania plam, o których mowa, jest spieranie ich silnie zagrzanym sokiem cytrynowym.

Plamy rdzawe, ta plaga bielizny, przenoszą się przez natychmiastowe, staranne spieranie ciepłą wodą z mydłem. Zastarzałe plamy z kawy i herbaty są bardzo trudne do wywabienia i ustępują zazwyczaj tylko pod wpływem działania ostrych płynów niszczących tkaninę.

Plamy rdzawe, ta plaga bielizny przenoszą się z łatwością ze sztuki na sztukę, muszą więc być obowiązkowo usuwane przed włączeniem bielizny do ogólnego prania. Wywabia się rdzę sokiem cytrynowym z domieszką soli kuchennej, biorąc na sok z jednej cytryny łyżeczkę mialkiej, oczyszczanej soli kuchennej. Płynem tym trzeba pocierać splamione miejsce, a gdyby plama pomimo to nie zniknęła pocierać rękami, tak jak przy normalnym praniu. Po wywabieniu plamy spłókiwać letnią wodą, poczem suszyć najlepiej na otwartym powietrzu.

Plamy ze smoły trudne do wywabienia dla osób nieuświadomionych najlepiej wywabiać nakładając na plamę warstwę masła śmietankowego. Po upływie kilku minut zebrać splamione miejsce ciepłą wodą z mydłem.

W domach, gdzie stół jadalny skupia dokoła siebie życie rodzinne, panuje nieraz wadliwy zwyczaj rozkładania, bezpośrednio po posiłku, jeszcze przed sprzątnięciem obrusa, gazet, pism, roboty ręcznej, a nawet ustawiania kałamarza, czy też posiłkowania się wiecznym piórem. Stąd biorą się często na bieliznie stołowej plamy z atramentu trudne w teorji do wywabienia. Zaznaczam dlatego, że „w teorji“, gdyż nawet atramentowa plama, zażyta umiejętnie, znika bez śladu. Sposób podaję poniżej:

Rozpuścić w litrze zimnej wody łyżkę radionu. Przepędzić przez sito wysłane kawałkiem rzadkiego płótna, albo muślinem. Cedzimy dlatego, aby do wody nie przedostała się najmniejsza nawet grudka radionu, która, przylegając do tkaniny przepala nitki. Splamioną, poprzednio przygotowaną normalnie do gotowania, sztukę kładzie się w kociołek, zalewa zimnym roztworem, przykrywa naczynie bardzo szczelnie, tak aby para nie uchodziła i podgrzewa do zagotowania, poczem na wolnym ogniu gotuje 15 minut. Po wyjęciu z roztworu zauważymy z radością, że po zdradliwym atramentem nie pozostało śladu!

Gorzej jest z bielizną kolorową, bo do niej nie można stosować tak radykalnego środka jak gotowanie w radionie, to też strzeżmy ją tem usilniej przed niebezpieczeństwem splamienia!

Wanda Dobrzańska.

PRZEPISY KULINARNE

GRZYBY.

Zupa z grzybów prawdziwych. Kilkamaście prawdziwych grzybów jędrnych, białych poszatковать w cienkie plasterki wraz z korzonkami. Poddusić w maśle z cebulką. Ugotować smak na jarzynkach i cebuli, dodając listek bobkowy, kilka ziarn pieprzu i kilka ziarn ziela angielskiego. Przepędzić gotowy smak, dodać do smaku trochę buljonu, wrzucić duszone grzybki i kilka razy zagotować. Przykryć, pozostawić godzinę w ciepłe, żeby zupa nabrała grzybowego smaku. Na wydaniu zagotować, zdjąć z ognia, zaprawić momentalnie bardzo gorącą zupę szklanką śmietany, do której dodać dwa surowe żółtka. Włożyć do wazy drobne delikatne łazanki przelane po ugotowaniu wrzącą wodą, aby się nie posklejały, wsypać trochę drobno siekaney natki od pietruszki, zalać zupą, wymieszać, podawać natychmiast aby nie wystygła. Zupę trzeba zaprawiać śmietaną i żółtkami w ostatniej chwili i już z nimi nie gotować. Proporcja na 6 osób.

Zupa z gąsek. Wybrać $\frac{1}{2}$ kg młodźutkich, jędrnych gąsek. Oplókać starannie z piasku, obrać czapeczki z wierzchniej łatwo oddzielającej się skórki. Ugotować smak jarzynowy z dodaniem korzeni (jak wyżej). Przepędzić, dodać buljonu, rzucić w czysty smak całe gąski z ogonkami, gotować na bardzo wolnym ogniu około godziny. Oddzielnie ugotować drobne delikatne łazanki. Gdy grzybki już miękkie, sklarować czubatą łyżkę masła, wsypać łyżkę mąki, raz zasmażyć, rozprowadzić zupą, zagotować mieszając. Na wydaniu włożyć do wazy łazanki i siekaną natkę od pietruszki, zalać zupą, wymieszać. Proporcja na 6 osób.

Kurki. Pospolite i tanie, a jednak bardzo smaczne grzyby, jeżeli są odpowiednio przyrządzone. Kurki trzeba wymyć w obfitej wodzie, wybrać delikatnie, bo na spodzie osiadłże ziemia, mech i igliwie. Włożyć na durszlak, przelać obficie wodą spod kрана, osączyć. Na 1 kg kurek skrajac jedną dużą cebulę cukrową, włożyć ją do rondla wraz z 10 dk masła, poddusić. Rzucić w to masło całe, albo pokrajane kurki, zalać szklanką rosółu i dusić na wolnym ogniu pod przykryciem 45 minut. Zdjąć pokrywę, dodać soli i pieprzu do smaku, dusić dalej, już bez przykrycia, aż do czystego masła. Wtedy zalać szklanką śmietany, wymieszać, zagotować kilkakrotnie. Wydawać jako garnitur do mięsa, albo też z tłuczonymi kartoflami, jako samoistne danie.

Grzanki z grzybami. Ukroić dowolną ilość grzanek jednakowej wielkości. Używać na grzanki długą bułkę lekko czerstwą (wczorajsza) otartą ze skórki. Każdą grzanek umaczać w mleku, osączyć, umaczać w rozbitym jajku, skrzyżać w bułeczce tartej.

Na pół godziny przed wydaniem grzanek na stół usma-

żyć je w obfitym tłuszczu na złoty kolor. Ułożyć na okrągłym ogniotrwałym półmisku, każdą grzanek nałożyć suto grzybami duszonymi, posypać powierzchni tartym serem szwajcarskim, albo tartym parmezanem, skropić masłem sklarowanym, wsunąć do bardzo gorącego pieca na górną kondygnację, aby się powierzchnia szybko zrumieniła na złoty kolor. Wydając na stół przybrać wiankiem ze smażonej na maśle natki od pietruszki.

Grzybki do grzanek. Młode jędrne grzybki prawdziwe (same czapeczki) umyć, osączyć, cienko poszatковать, uduścić w maśle z cebulką, nie soląc. Gdy się grzybki wyduszą (na wolnym ogniu) do czystego masła, osolić do smaku, dodać troszkę białego pieprzu mielonego, raz zasmażyć.

Grzyby prawdziwe duszone. Zdrowe, jędrne grzyby prawdziwe obetrzeć z ziemi gałgankiem, poczem dopiero oplókać (nie trzymać w wodzie!). Ogonyki podciąć, obrać z wierzchniej skórki, poszatковать grzyby cienko. Na 1 kg grzybów wziąć dużą cukrową cebulę i 10 dk masła. Cebulę drobno poszatковать, poddusić w maśle, wrzucić w nie poszatковane grzyby (nie parzyć przedtem wrzątkiem i w duszeniu nie solić!) Dusić bez przykrycia na wolnym ogniu tak długo dopóki sos jaki puszcza grzyby nie wygotuje się tak, aby go było tylko trochę na dnie rondla. Wtedy posolić grzyby do smaku, wsypać odrobinę białego pieprzu mielonego, podlać wyborową gęstą młodą śmietaną, zagotować kilka razy.

Kartofle duszone z grzybami. 1 kg grzybów prawdziwych poszatковать w cienkie plasterki. Dwa kg kartofli obrać, oplókać, pokrajać w kostkę. Dwie duże cukrowe cebule pokrajać w cieniutkie plasterki. Wysmarować rynkę ogniotrwałą masłem. Dać na dno warstwę kartofli, posypać cebulą, posolić, oprószyć pieprzem, polać śmietaną, dać warstwę grzybów i suto skropić masłem. Wypełnić w ten sposób całą rynkę, dając naprzemian kartofle i grzyby. Wierzchnia warstwa powinna wypaść z kartofli. Przykryć, wstawić do pieca, albo dusić na wolnym ogniu, aby się od spodu nie przypaliły. Wydając na stół posypać powierzchni siekaną zieleninką.

Grzyby zapiekane. Wybrać młode grzybki prawdziwe średniej wielkości. Wykręcić ogonyki, łebki czysto oplókać i poddusić w maśle z cebulką. Gdy już miękkie osolić do smaku, wyłożyć na ogniotrwały półmisek, lub do ogniotrwałej płaskiej rynki. Gęstą, młodą śmietaną kwaśną rozbić z żółtkami i mąką, biorąc na szklankę śmietany strychowaną łyżkę mąki i dwa żółtka, dodać do tego łyżkę tartego sera szwajcarskiego, i łyżeczkę mocnego buljonu. Zalać po wierzchu grzyby, posypać suto tartym serem szwajcarskim, obłożyć kawałeczkami masła. Zapiec na złoty kolor. Wydając na stół ugarniować małemi grzaneckami z serem szwajcarskim.

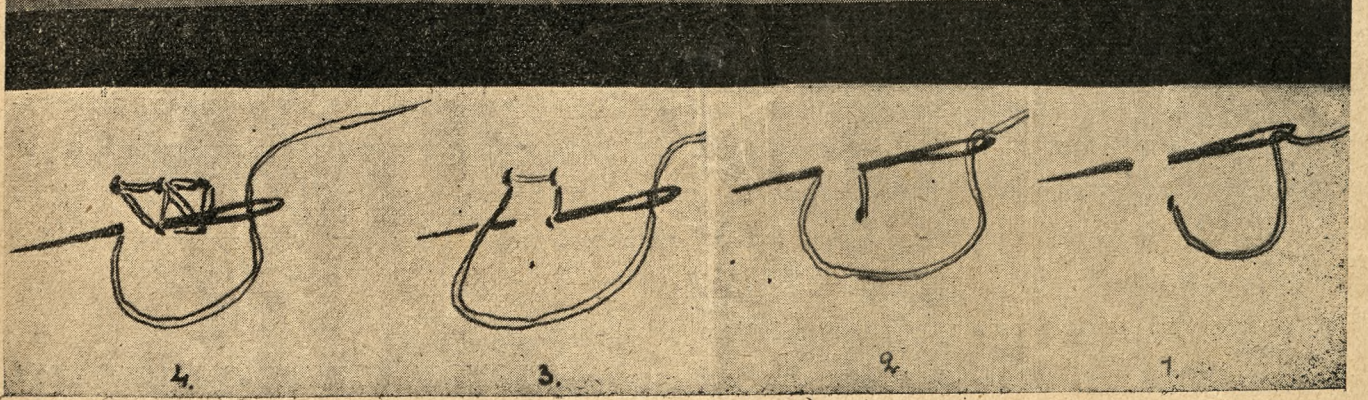
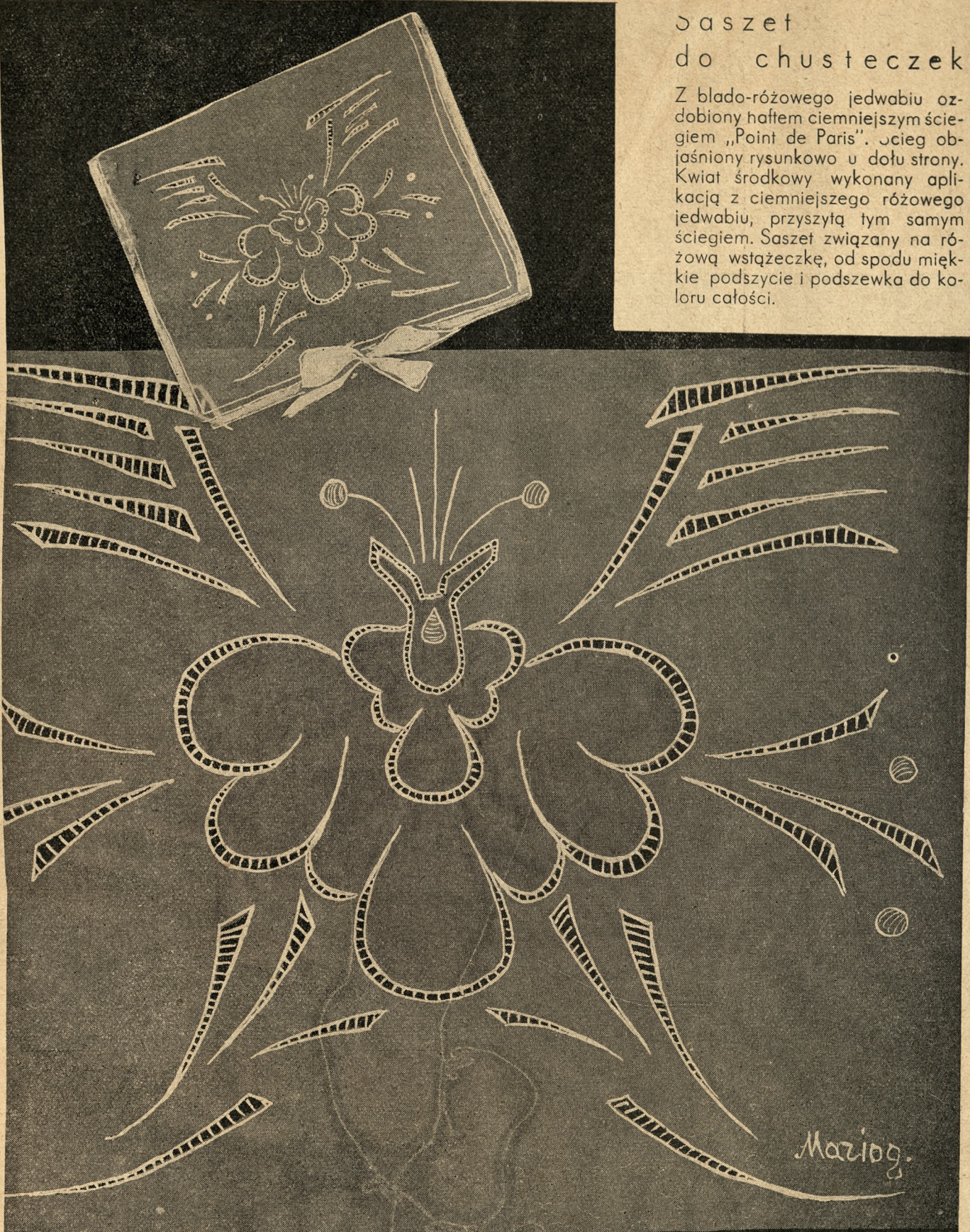
Budyń ze świeżych grzybów. Proporcja: $\frac{1}{2}$ kg młodych, jędrnych grzybów (same łebki), 1 cebula cukrowa, 10 dk masła, $\frac{1}{4}$ szklanki śmietany, 2 szklanki mleka, 4 jajka, 2 łyżki tartego sera szwajcarskiego, buljon, sól, pieprz, siekana zieleninka. Masło i bułeczka do formy.

Grzyby umyć, osączyć, poddusić w maśle z cebulką, podlać śmietaną. 5 dk masła włożyć do rondla, sklarować, wsypać mąkę, raz zasmażyć, wlać mleko, zagotować mieszając i gotować tak długo dopóki od rondla nie odstanie. Posolić do smaku, wsypać trochę białego pieprzu, tarty ser, wlać łyżeczkę buljonu, wymieszać, wystudzić. Do zimnej zaprawy wbijać żółtka po jednym, wyrabiając za każdym żółtkiem łyżką drewnianą. W końcu dodać grzyby, pianę z pozostałych białek i siekaną zieleninkę. Po lekkim wymieszaniu włożyć do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wyprószonej tartą bułeczką. Gotować na parze, albo upiec w średnio gorącym piecu. Gotowy budyń wyjąć na okrągły półmisek, otoczyć wieńcem grzybów duszonych w maśle i śmietanie, polać powierzchni masłem sklarowanym i oprószyć zieleninką.

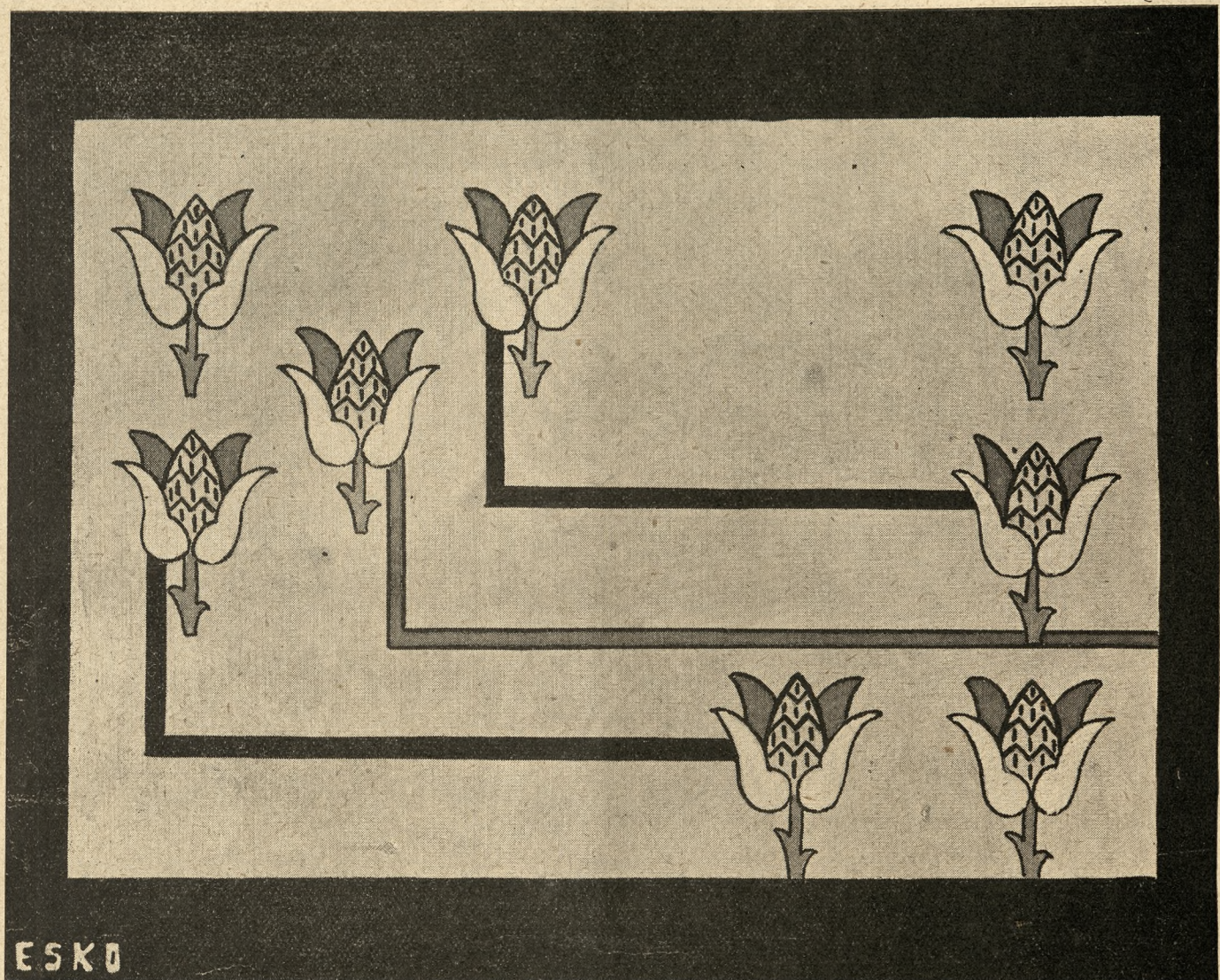
Melba.

Saszet do chusteczek

Z bladego różowego jedwabiu ozdobiony haftem ciemniejszym ściegiem „Point de Paris”. Ścieg objaśniony rysunkowo u dołu strony. Kwiat środkowy wykonany aplikacją z ciemniejszego różowego jedwabiu, przyszytą tym samym ściegiem. Saszet związany na różową wstążeczkę, od spodu miękkie podszycie i podszywka do koloru całości.



Poduszka, haft kolorowy wykonany na szarem płótnie

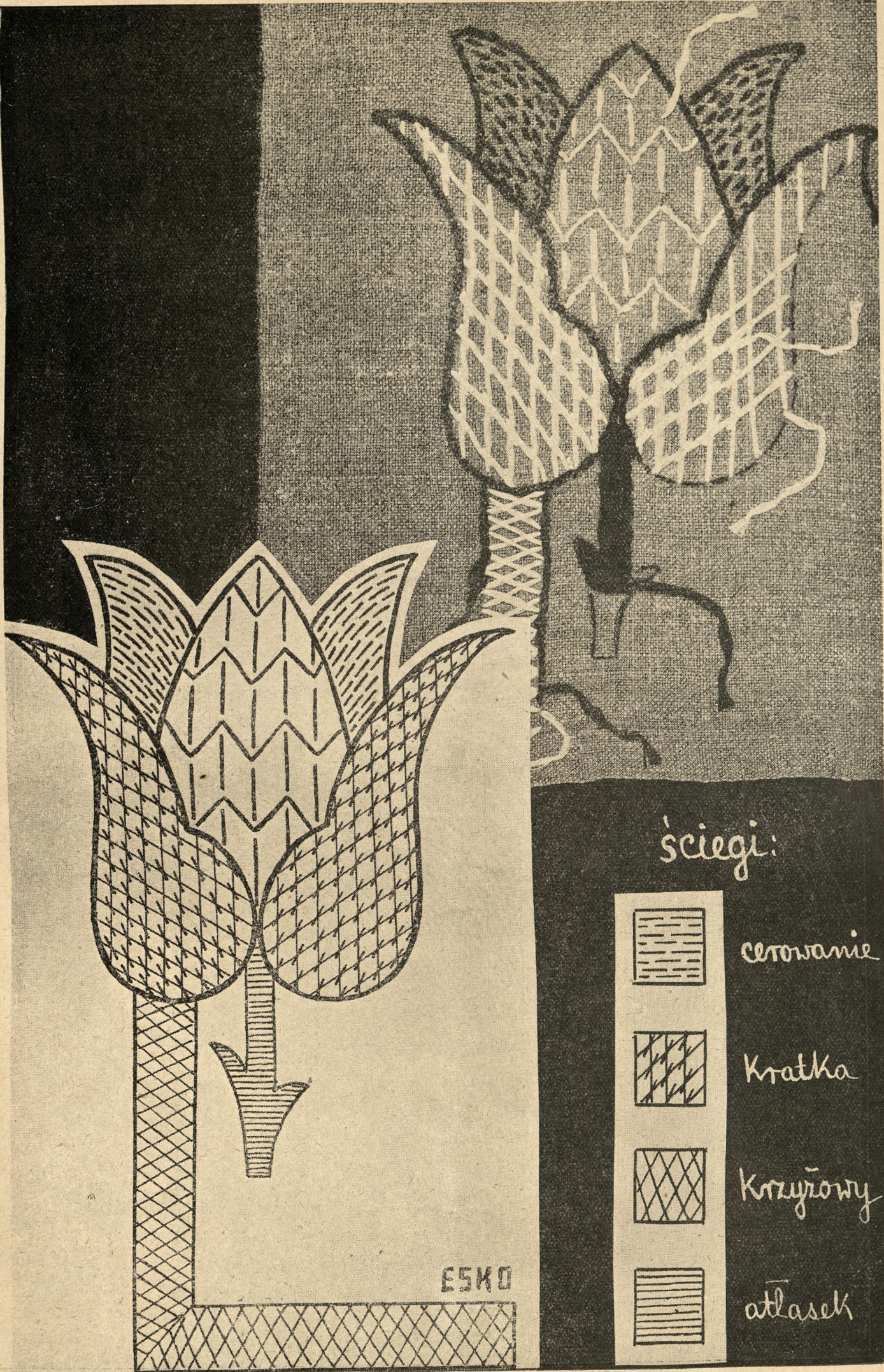


Poduszka skombinowana jest z jednego motywu tak, jak to widzimy na rysunku poduszki w zmniejszeniu. Osobno podajemy rysunek motywu naturalnej wielkości; na tym rysunku podany jest drugi górny motyw z proporcją połączenia.

Całość poduszki ma 65 cm. długości, 45 cm. wysokości. Haft wykonany kordonkiem Nr. 8 lub włóczką. Ściegi podane na rysunku. Kolory mogą być dowolne, gdyż są one w zależności od lokalnej barwy miejsca, gdzie poduszka ma leżeć. Podajemy jedną kombinację, według której można się wzorować, używając innych kolorów. Duże płatki niebiesko pawim kolorem, w jaśniejszym odcieniu, małe płatki ciemniejszego tonu, środek kwiatu jasno żółtym kolorem, obwódka jasno bronzowa, todyga zielona. Górny i dolny pas ciemno pawim, środkowy jaśniejszym odcieniem.

Linie w wewnętrznym motywie kwiatu wykonane ściegiem pocztowym.

ELEONORA KOTWICZ ONICHIMOWSKA



ściegi:



cerowanie



kratka



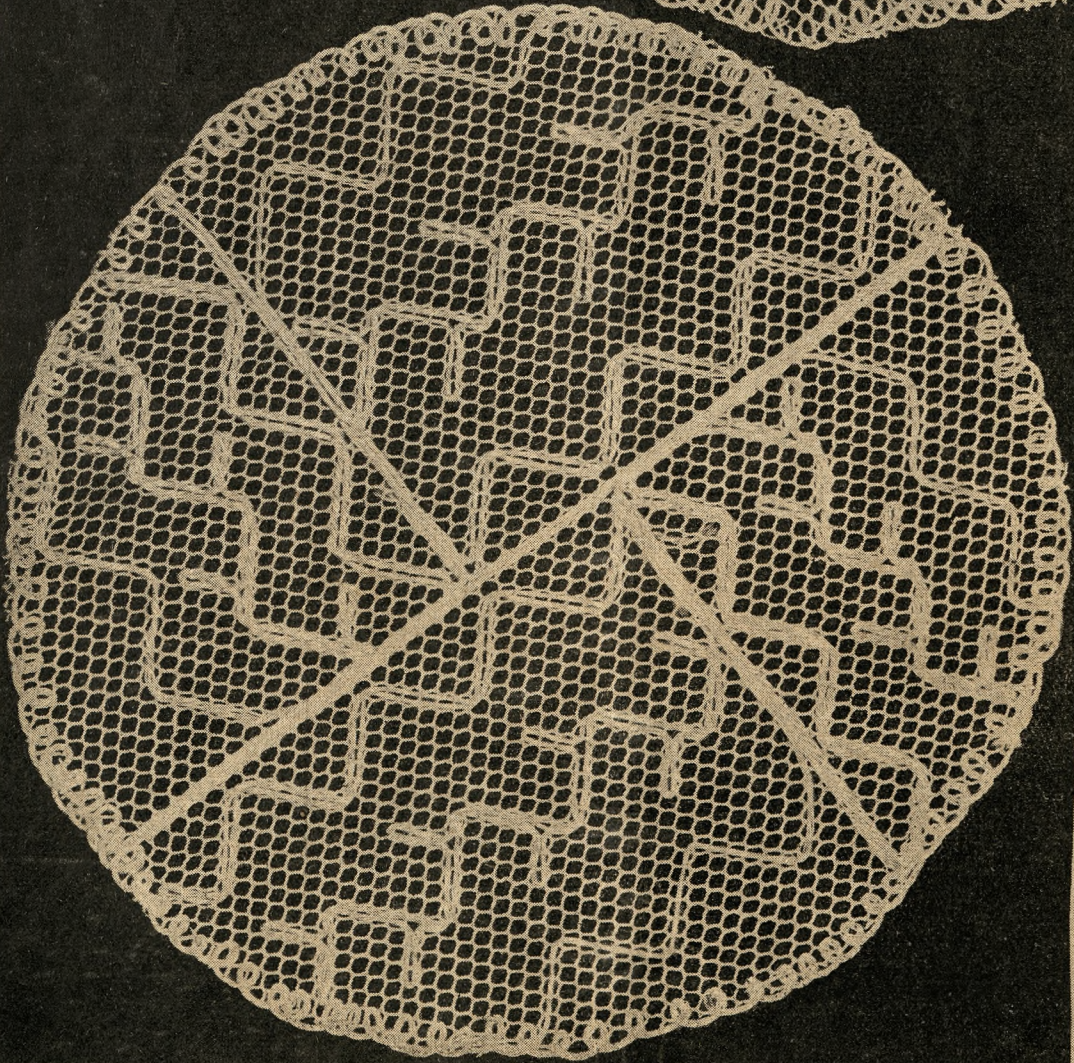
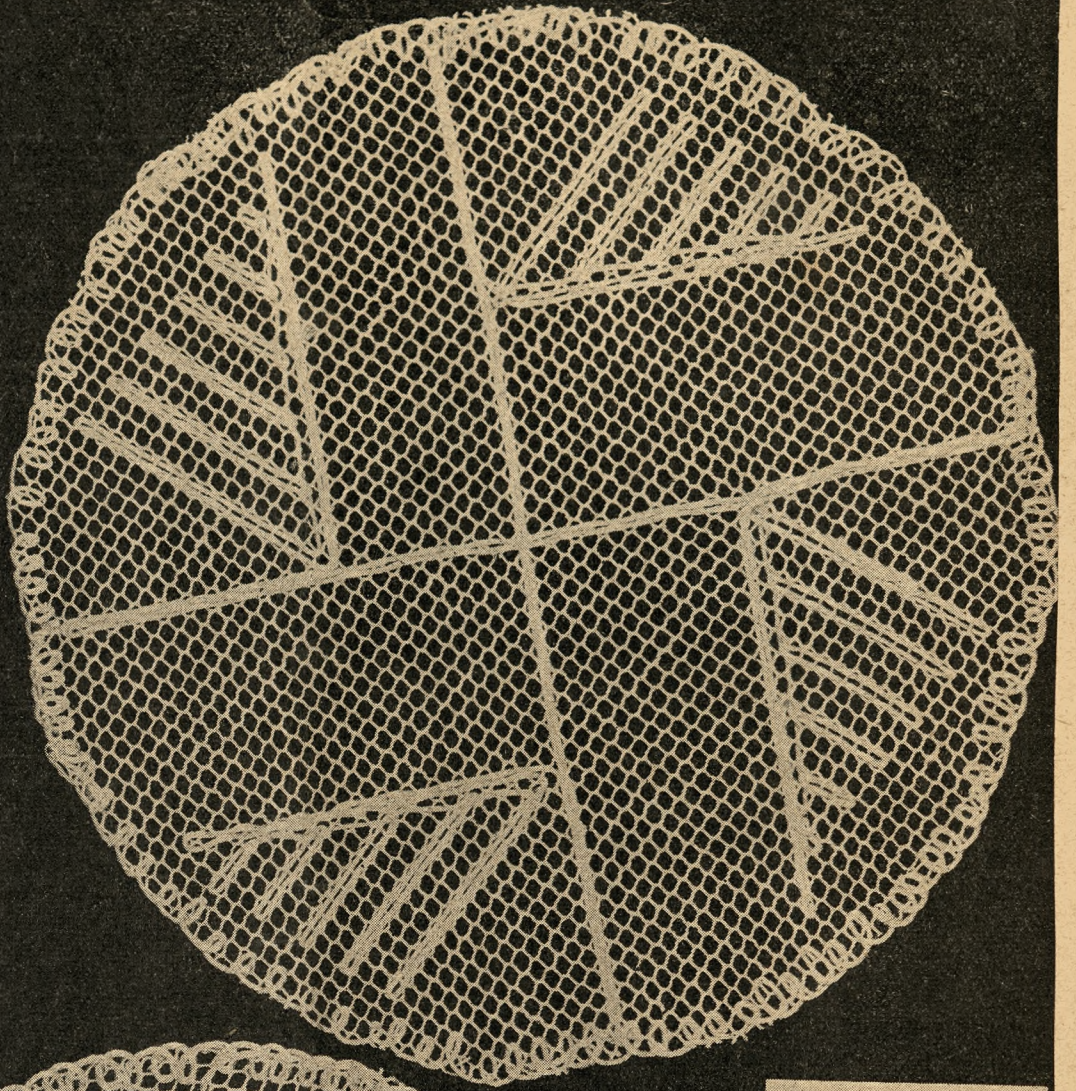
krzyżowy



atłaszek

ESKO

gabel-
-podareška



Ser-
-čestki
podol

KONKURS

NA ŻYCIORYS SPOŁECZNEGO DZIAŁACZA WIEJSKIEGO

Mało jest jeszcze na wsi działaczy społecznych miłujących wieś i pracujących dla dobra ogółu wieśniaków, ale jest ich coraz więcej. A że potrzeba ich jest jeszcze ogromna, więc dobrze będzie, gdy staną przed oczami naszego czytającego społeczeństwa przykłady tych działaczy, których życiorysy można będzie zebrać i podać do wiadomości ogólnej.

Zakład Polityki Ekonomicznej i Socjologii Wsi, będący częścią Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, którego głównym z celów jest przysparzanie krajowi działaczy społecznych wiejskich z wyższym wykształceniem, ogłasza niniejszym konkursem na napisanie życiorysów takich działaczy bez względu na ich przygotowanie.

Działalność społeczna na wsi obecnie potrzebuje ludzi umyślnie do tego kształconych i to wysoko, ale na nich nie można poprzestawać. Działalność społeczna na wsi musi być szeroko rozlana, ogarniać ludzi wszelkich stanowisk, a przedewszystkiem potrzebuje, by wśród wieśniaków żyjących z pracy rąk nie brakowało działaczy społecznych, by tacy właśnie działacze byli szeroko po kraju rozrzućeni, by prawie każda wieś mogła szczycić się nimi.

Zatem przedewszystkiem idzie o to, by zapomocą konkursu wydobyć na światło dzienne życiorysy wieśniaków, którzy żyjąc we wsi nie zamykają się w troskach o siebie samych i swe rodziny, ale i dobro ogólne mają na celu oraz do niego swoim rozumem i wpływem się przyczyniają, oddziałując na swe otoczenie w duchu tego dobra.

Idzie o to, by wykazać, w jaki sposób rozwinęły się w nich dobre cechy, w jaki sposób i w czym ich praca społeczna się uwidoczniła, na jakie natrafiała przeszkody, kto jej pomagał a kto przeszkadzał, jak się przeszkody dawały usunąć, albo też jak stanęły na zawadzie i dobrym chęćom rozwinąć się nie pozwoliły. Rozumie się, że, jak każdy życiorys, tak i ten musi zawierać wiadomości o osobie działacza, czyli o jego pochodzeniu, uczeniu się, życiu rodzinnym i pracy codziennej, a także o miejscowościach przebywania oraz stosunkach w nich panujących i t. p., a wszystko z podaniem czasu, kiedy się to działo.

Życiorys taki może być bądź własny, bądź napisany przez takiego świadka, który patrzył zbliska na postępowanie działacza.

Obok życiorysów wieśniaków-działaczy społecznych pożądane są też dla konkursu życiorysy działaczy społecznych wiejskich spośród instruktorów, nauczycieli rolnictwa, nauczycieli szkół powszechnych, spośród inteligencji wogóle, księży,

OGŁOSZENIA DROBNE

Kosmetyczne Operacje

zniekształceń

Dr. Michałek-Grodzki chir.-plastyk
Warszawa, Złota 3, tel. 695-40

właścicieli ziemskich, spośród lekarzy, adwokatów, urzędników, mieszczan i wszelkich osób bez różnicy stanowiska, majątku i wykształcenia, zarówno mężczyzn jak i niewiast, o ile działalność społeczna ich w ciągu dłuższego okresu życia była skierowana ku dobru wsi i pozostawiła wyraźne ślady.

Życiorys będzie oceniany nie według tego, kto najwięcej zrobił w życiu dobrego, ale wedle tego, który życiorys będzie napisany najbardziej szczerze, prawdziwie i umiejętnie.

Za najlepsze życiorysy napisane przez wieśniaków zostają wyznaczone nagrody: pierwsza 250 zł, dwie drugie po 100 zł i dwie trzecie po 50 zł oraz dziesięć wyróżnień po 20 zł. Za najlepsze życiorysy napisane przez osoby, nie z pracy rąk żyjące, nagroda pierwsza wynosić będzie 250 zł, druga 100 zł oraz trzecia 50 zł, a pozatem trzy wyróżnienia po 20 zł.

Zakład zastrzega sobie prawo wydrukowania w całości lub urwkaach nadesłanych życiorysów, nie przyjmując jednak pod tym względem żadnych obowiązków. Zakład będzie się starał, by możliwie jak najobszerniej wykorzystywać życiorysy przez ogłoszenie ich w druku. Autorzy życiorysów niewydrukowanych w ciągu dwóch lat od daty rozstrzygnięcia konkursu będą mieli prawo otrzymania ich spowrotem na żądanie.

Sąd konkursowy będzie się składał ze znawców społecznej działalności wiejskiej.

Rozmiary życiorysu winny wynosić od 20 do 60 stron pisma.

Termin nadsyłania życiorysów upływa z dniem 15 stycznia 1936 roku. Życiorysy należy nadsyłać pod adresem: Zakład Polityki Ekonomicznej S. G. G. W. w Warszawie, ul. Hoża 74.

Profesor Władysław Grabski,

Kierownik Zakładu Polityki Ekonomicznej i Socjologii Wsi.

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

Biblioteka Laureatów Nobla.

Romain Rolland: „Dusza zaczarowana“ I Anetka i Sylwia, (wyd. trzecie). Przekład autoryzowany, F. Mirandoli. IV Zwiastunka — Przekład autoryzowany Leopolda Staffa.

Biblioteka autorów polskich.

F. Antoni Ossendowski: „Nauczycielka“, powieść.

Kazimierz Czachowski: „Marja Rodziewiczówna na tle swoich powieści“.

Księgarnia św. Wojciecha.

Myśli św. Augustyna. Wybrał ks. dr. St. Bross.

Konrad Górski: „François Mauriac“, studjum literackie.

W. Falkowski: „Mieczem i krzyżem“ Ernest Psichari: myśl, sztuka, życie.

Ks. dr. F. Sawicki: „Dusza nowoczesnego człowieka“.

Biblioteka Przyrodnicza.

Zofja Bohuszewiczówna: „Jan Henryk Fabre. Dzieje myśli i życia“.

A. Dorabalska: „Marja Skłodowska Curie i Piotr Curie“.

Główna Księgarnia Wojskowa.

M. Pluciński: Budowa kajaków wyścigowych.

Inż. Jan Czarnecki: Budowa żaglowych modeli jachtów. (Biblioteczka harcerskich drużyn żeglarskich).

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Główna Księgarnia Wojskowa: Gen. Marjusz Zaruski: „Wśród wichrów i fal“.

G. Piotrowski: „Przedsiębiorstwa morskie“.

Inż. Julian Ginsbert: „Co to jest marynarka wojenna?“ A. B. C. morskie dla wszystkich.

Biblioteka spraw i zagadnień narodowych polskich: Polacy i Rusini.

SZAROTKA NA WYMARCIU

W pięknych naszych Tatrach zniknęły już oddawna kozice i świstaki.

Teraz znowuż Ochrona Przyrody i Towarzystwo Tatrzańskie alarmują, że wielkie niebezpieczeństwo grozi wdzięcznej szarotce.

Ten kwiat, tak bardzo charakterystyczny, znika z przerażającą szybkością. Zrywają go masowo turyści i handlarze. Właściwie nie zrywają, lecz wyrwijają z kerzeniami. Umiejętne bowiem obcinanie kwiatów nie szkodzi roślinie, przeciwnie — jest zalecane, jako podnieta kwitnienia.

Nie należy więc kupować szarotek od barbarzyńskich sprzedawców, którzy nie umieją obchodzić się należycie z tą piękną ozdobą tatrzańskich turni.

Kto koniecznie chce posiadać na pamięć szarotki, niech je sam umiejętnie obeina albo niech je kupuje u zakopiańskich ogrodników, którzy hodują szarotkę masowo.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

PANI W. Ś.

Wyższa Szkoła Dziennikarstwa znajduje się w Warszawie. Aby być przyjętym w poczet słuchaczy rzeczywistych, wystarczy świadectwo dojrzałości. Osoby nie posiadające świadectwa dojrzałości mogą uczęszczać na wykłady i zdawać egzaminy ale tylko w charakterze słuchaczy wolnych.

Blizszych informacji udzieli Sz. Pani Sekretarjat W. S. D. Warszawa Plac Młachowski 1.

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

W WOLNYCH CHWILACH OD ZAJĘĆ
PANI ZASIADA DO SZYDEŁKA
I DRUTÓW, ABY TANIM KOSZTEM
UBRAĆ SIEBIE I NAJBLIŻSZYCH SKROMNIE
LECZ ELEGANCKO



Szydełkiem i na drutach


to ogólny tytuł 5 doskonałych podręczników o modnych robotach z wełny i włóczki.

Pierwszy podręcznik uczy ściągów szydełkowych i na drutach wogóle;

drugi – podaje, jak i co można zrobić dla dzieci; trzeci – dla młodzieży;

czwarty – dla pań i panienek;

piąty – dla panów i chłopców.


Każdy podręcznik zawiera
ok. 200 wzorów rysunkowych,
jest opracowany sumiennie
i wyczerpująco.

Kosztuje 1 zł. 50 gr.
z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w kioskach „Ruchu”, w księgarniach, lub
bezpośrednio w Tow. Wyd. „Bluszcz”, W-wa, Solec 87